ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 23

WARSZAWA
DNIA 8 CZERWCA 1913 R.

Teatr Polski w Paryżu.

Zbliża się chwila przyjazdu p. Hellera i jego trupy. „Po raz pierwszy sztuka dramatyczna polska przemówi w stolicy Francji. Po raz pierwszy kolonja polska będzie miała sposobność święcić manifestację artystyczną tej miary. Po raz pierwszy język polski zabrzmi na scenie francuskiej!" Tak głosi zaproszenie, rozsyłane do rodaków przez Polskie Tow. Literacko-Artystyczne w Paryżu.

Dla naszej kolonji, spragnionej wrażeń artystycznych, któreby płynęły ze sceny *polskiej*, sprawa gościny dramatu polskiego w Paryżu jest wypadkiem, o którym myśli się ze wzruszeniem i radością. Przebywająca zdala od ojczyzny, oddalona od sztuki rodzimej, od życia polskiego, duża część Polaków paryskich bodaj czy nie zupełnie straciła kontakt z teatrem polskim, z polską sztuką dramatyczną, o której dużo słyszy, ale którą pragnęłaby na własne oczy oglądać, oczekując tej chwili wprost z biciem serca.

Lecz nietylko o strawę artystyczną, przeznaczoną jedynie dla nakarmienia spragnionych jej rodaków, chodzi. Rzecz w tem, że i Francuzi, z którymi koło przyjaźni polskiej zacieśnia się coraz bardziej i coraz serdeczniej, którzy ruchowi naukowemu, literackiemu i artystycznemu Polski z każdym dniem więcej poświęcają uwagi, którzy sami tłómaczą arcydzieła polskie na język francuski (Cazin), którzy rokrocznie oglądają w swych salonach sztuk pięknych mistrzowskie okazy pędzla i dłuta polskiego, których zastanawia nieproporcjonalnie duża ilość nagród, otrzymywanych przez Polaków na rozmaitych konkursach i wystawach francuskich, którzy wiecznie mają na ustach, widzą na afiszach, w dziennikach, w książkach—nazwiska Szopena, Paderewskiego, Sienkiewicza,—otóż rzecz w tem, że i Francuzi pragnęliby spojrzeć, że tak powiem, w żywe oczy scenie polskiej—i że pragnieniu temu należałoby zadość uczynić.

I dlatego też zorganizowanie popisu publicznego dramatu i teatru polskiego w Paryżu uważać należy za przedsięwzięcie nietylko pożądane, lecz nawet—pilne.

Natomiast podkreślić trzeba, że występ polskiej sztuki teatralnej przed forum zagranicznem — i w dodatku tak wrażliwem na technikę i artyzm sceniczny, jak forum paryskie—będzie posiadał charakter niejako egzaminu wobec obcych z naszej sprawności, z naszego wyrobienia i dorobku kulturalnego w dziedzinie twórczości dramatycznej. Jest to więc egzamin trudny, no i do pewnego stopnia—ryzykowny.

Stąd owe głosy sceptycyzmu, jakie rozlegają się w naszej prasie, stąd powątpiewania, czy zespół aktorski p. Hellera trudnościom, wymaganiom i gustowi artystycznemu Francuzów podoła.

Lecz analogiczny akurat pesymizm panował i w wigilję występów teatru lwowskiego w Wiedniu — w maju 1910 r. Gromiono p. Hellera, że naraża sztukę polską na kompromitację, na klęskę, bodaj czy nie na hańbę! Tymczasem, cóż się okazało? „Tydzień polski w Wiedniu"—jak nazwano gościnę naszego dramatu w stolicy naddunajskiej—zamiast przewidywanych klęsk i kompromitacji, przyniósł scenie polskiej i sztuce polskiej tryumf na całej linji, wywołało praw-

dziwy zachwyt w kołach artystycznych Wiednia, znajdujących się przecież na jednym z najwyższych poziomów wymagań, i tak bogatych w zasoby aktorskie.

W sprawozdaniu z występów tych, wydanem w formie specjalnej księgi pamiątkowej *(Teatr polski w Wiedniu)*, opracowanej przez znanego literata lwowskiego, p. H. Cepnika, czytamy:

„Scena lwowska zdobyła w stolicy naddunajskiej sukces w całej pełni i na całej linji, wychodząc z ogniowej próby popisu na obcym gruncie i wobec obcej a bardzo krytycznie nastrojonej zarówno prasy, jak i publiczności, nie obronną tylko ręką, ale naprawdę zwycięsko i pod każdym względem z honorem. Obcy oddali scenie naszej to, czego u nas stale jej się odmawia: przyznali jej jednomyślnie wysoki poziom artystyczny, tak w niejednym kierunku wysoki, że nie wahano się nawet przed porównaniami... z Komedją Francuską; o artystach zaś lwowskich wydano opinję, że obdarzeni są prawdziwie europejską kulturą artystyczną, z podkreśleniem, że jeśli nie przewyższają w niejednem artystów zagranicznych, specjalnie niemieckich, to bądźcobądź nie ustępują im ani pod względem bogactwa talentów, ani techniki gry. Terminy w rodzaju takich, jak: *„glänzend“*, *„ausgezeichnet“*, *„musterhaft“*, *„entzückend“*, *„brillant“*, *„sensationeller Erfolg“* i t. p., porównania raz po raz artystów polskich z najwybitniejszymi zagranicznymi, wreszcie powtarzające się nieustannie w formie miłego zdziwienia konkluzje: „Lwów bynajmniej nie należy do prowincji w dziedzinie sztuki“, albo: „mieliśmy przed sobą trupę całkiem pierwszorzędną”, nie mówiąc o takich zwrotach, jak użyty przez krytyka *Neue Freie Presse* po przedstawieniu Fredrowskiej „Zemsty”: *„Man hatte durchaus den Eindruck, den Abend in einer Art polnischer Comédie Française verbracht zu haben!”* — wszystko to spotykało się co krok w recenzjach i ocenach prasy wiedeńskiej, poświęconych gościnie teatru lwowskiego w stolicy naddunajskiej.“

„Po raz pierwszy — pisze o tej gościnie jeden z najpoważniejszych i najsumienniejszych krytyków wiedeńskich, dr. Edward Goldscheider — polska sztuka sceniczna złożyła na obcym gruncie przekonywający dowód, do jak wspaniałych doszła wyników.., To fakt bowiem, że bilans artystyczny występów polskich jest wręcz nadzwyczajny. Polacy, których—w przeciwieństwie do Rosjan, którzy w swoim czasie przybyli przez Berlin do Wiednia *), nie poprzedziły żadne zgóry przez krytykę niemiecką urobione opinje i reklamy — potrafili zaraz pierwszego wieczoru, w „Zaczarowanem Kole“ Lucjana Rydla, ujarzmić publiczność wiedeńską. Odtąd z wieczora na wieczór, potęgowało się zainteresowanie publiczności i z wieczora na wieczór zdawała się wzrastać radość i zdolność twórcza artystów. Proszę mi wybaczyć ten banalny zwrot, ale nie da się on ominąć: — artyści polscy zdobywali jeden sukces po drugim. Zdobywał je cały zespół, zdobywali również wszyscy poszczególni artyści. Po tej, tak świetnem powodzeniem uwieńczonej gościnie, będzie się już nietylko na słowo wierzyło Polakom, że sztuka ich nie ustępuje bynajmniej sztuce zachodnich ludów kulturalnych“ *(dass ihre Kunst hinter jener der westlichen Kulturvölker nicht zurück geblieben ist).“*

Skoro tak wypadła opinja nadwyraz surowej i wymagającej krytyki wiedeńskiej, która brzmiała przedziwnie *unisono* — nie wolno wątpić o wartości artystycznej trupy p. Hellera: wywiązała się ona z zadania *cum eximia laude.* O wartości tej zresztą mówią nazwiska pierwszorzędnych sił, z których składa się zespół aktorski dramatu lwowskiego. Wymienię kilka, które brały udział w występach wiedeńskich i które zawitają nad Sekwanę: Jankowska, Michnowska, Trapszo, Feldman, Fiszer, Zielińska, Robert, Żelazowski, Adwentowicz, Siemiaszkowa!

Krótki ten spis nazwisk dostatecznie mówi za siebie, i mogę dodać:—gwarantuje.

Sceptycyzm więc i wątpliwości na tym punkcie żadnego, jak mniemam, nie mają uzasadnienia. I jak też z głosów prasy sądzić można, nie dotyczą, lub też w bardzo małym stopniu, zespołu, reprezentującego dramat lwowski. Natomast krytykę i niezadowolenie wywołały projektowane do wystawienia sztuki. Repertuar definitywnie ułożony jest następujący: *„Zaczarowane koło”* Lucjana Rydla; *„Sędziowie“* i *„Warszawianka“* Wyspiańskiego; *„Grube ryby“* Bałuckiego; *„Tamten“* Józefa Maskoff'a; *„Zemsta za mur graniczny“* Fredry; *„Qui pro quo“* Korzeniowskiego; *„Marcowy kawaler“* Blizińskiego; *„Pietro Caruso“*, dramat Roberta

*) Mowa o występach słynnej trupy rosyjskiej Stanisławskiego, której Berlin miesiącami robił reklamę. (Przyp. S. A.).

Bracco w tłomaczeniu Kasprowicza; „*Topiel*“ Przybyszewskiego; „*Straceńcy*“ Konczyńskiego; „*Upiory*“ Ibsena.

Otóż wiele osób w kolonji dziwi się, że w projekcie p. Hellera niema ani jednej np. sztuki francuskiej, z czego Francuzi mogą wywnioskować, że teatr ich albo bardzo licho, albo wcale nie jest interpretowany w Polsce. Inni narzekają, że „*Młodą Polskę*“ w programie p. Hellera potraktowano zbyt po macoszemu. Ci pragnęliby chyba widzieć na bruku paryskim „*Dzisiejszych*“ lub „*Grę Serc*“ Kiedrzyńskiego, „*Lekkomyślną Siostrę*“ Perzyńskiego, jedną ze sztuk Nowaczyńskiego i t. d. Inni znowu chcą mieć „*Moralność Pani Dulskiej*“, a jeszcze inni powstają głównie przeciwko „*Upiorom*“. Słowem, na punkcie sztuk do wystawiania panuje zupełny chaos. Oczywiście, iż dyrektor Heller wszystkich zadowolić nie mógł; wziął on pod uwagę tylko głosy osób doświadczonych, długo przebywających w stolicy Rzeczypospolitej, znających doskonale grunt i wymagania publiczności francuskiej, tudzież kolonji polskiej i będących przytem w stałym kontakcie z produkcją artystyczną zarówno francuską, jak i polską.

Stronę administracyjną przedsięwzięcia zgodził się wziąć w swoje ręce p. Gabryel Astruc, jeden z najpotężniejszych impresarjów teatralnych świata. Astruc zbudował teraz prawdziwie królewski teatr na polach Elizejskich, który postawił sobie za zadanie ni mniej ni więcej tylko rywalizować z wielką Operą paryską. Istotnie też w „*Théâtre des Champs Elysées*“ spotkać można i Poincarégo, i bawiących w Paryżu królów europejskich, i ministrów, i całą wogóle śmietankę paryską.

Swoje imprezy teatralne organizuje Astruc tylko na wielką skalę, nie żałując ani zachodów, ani setek tysięcy. Wszystkie praktykowane środki reklamy, choćby nie wiem jak kosztowne, będą przez niego użyte w celu należytego zareklamowania teatru polskiego. Dla występów trupy lwowskiej udzielił nam jeden z najbardziej znanych teatrów w Paryżu: *Gymnase*. Teatr Gymnase, położony na wielkich bulwarach, tuż blisko bulwarów Sebastopol i Strasbourg i placu Républiki posiada dogodną komunikację ze wszystkich stron Paryża, ma salę bardzo ładną, obszerną i akustyczną. Sztuki, przeznaczone do wystawienia, będą streszczone w programach w języku francuskim. Każdy akt będzie oddzielnie streszczony, tak, że widz francuski z całą łatwością będzie mógł śledzić za biegiem akcji na scenie.

Wystąpienia dramatu polskiego nad Sekwaną będą poprzedzone artykułami w prasie, pióra znakomitych pisarzy francuskich, jak np. Emila Fagueta, akademika, Adolfa Brissona, referenta teatralnego *Temps*'a i in.

Wypada jeszcze zaznaczyć, że na tak szeroką, powiem nawet: na tak bogatą skalę zorganizowane występy trupy polskiej pochłoną kolosalne koszta pieniężne. Należy więc wątpić, aby impreza p. Hellera była intratna, przeciwnie, *musi on być przygotowany na deficyt* i to dość poważny. To najlepiej świadczy, że dyrektorowi teatru lwowskiego nie chodzi o sukces materjalny—jak mu to wielu imputuje — jeno wyłącznie o sukces moralny, o sukces artystyczny.

Co do projektu sztuk, przeznaczonych do wystawienia, to w tej sprawie dyskusja już jest wykluczona. Repertuar ułożony, programy i afisze wydrukowane, zaproszenia rozesłane. Chodzi głównie o to, aby *wszyscy* przebywający na bruku paryskim rodacy, aby wszyscy, którzy kochają teatr polski, którzy chcą, by sztuka sceniczna polska święciła tryumf w Stolicy Świata—przyczynili się do tego. *Niechaj sala nie świeci pustkami.* Oto, o czem pamiętać winni nasi ziomkowie paryscy. Występy dramatu polskiego w teatrze Gymnase mają znaczenie nietylko moralne, artystyczne, ale wprost *narodowe*. Prowadzą się np. pertraktacje z dyrektorami teatrów francuskich w sprawie włączenia do przyszłego sezonu teatralnego kilku sztuk polskich. Pomyślne zakończenie tych pertraktacji zależy od wrażenia, jakie pozostawi teatr p. Hellera. Niechże tego nikt nie zapomina. *A zwłaszcza prasa polska Królestwa i Galicji niech wie, że przez swoje uparte milczenie, że przez swój sceptycyzm i indyferentyzm bierze na siebie dużą część odpowiedzialności w razie niepowodzenia.*

Oby okropne nasze lenistwo myślenia i czynu nie stoczyło nas i tym razem w przepaść kompromitacji.

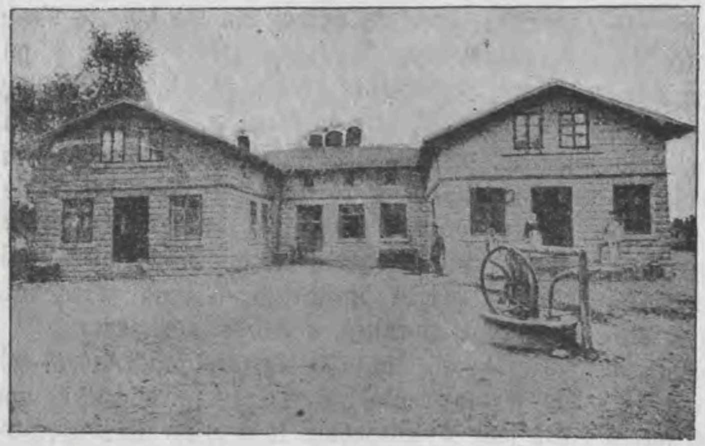
S. Auerbach.

LISKÓW.

W zachodniej części powiatu Tureckiego, gubernji Kaliskiej leży wieś Lisków, dziś już głośna na całą Polskę.

Gdy przed dziesięciu jeszcze laty Lisków był stekiem przestępstwa, nędzy i upadku moralnego, dzisiaj jest on ogniskiem kultury, bogactwa ekonomicznego wśród włościan, wzorem, na którym kształcą się tysiące.

Wszystkiego tego dokonał w ciągu dziesiątka lat jeden jedyny człowiek, proboszcz tamtejszej parafji, ks. Wacław Bliziński, który sam o sobie powiada, że nie miał nietylko pojęcia o stosunkach wiejskich, lecz nawet nie umiał odróżnić na wiosnę żyta od pszenicy; bez żadnych środków materjalnych, trafiwszy na grunt najoporniejszy, potrafił nietylko przełamać wytrwałą pracą i przykładem zbrodnicze instynkty tamtejszych włościan, ale nawet skruszyć opokę nieufności, podejrzliwości i małego uobywatelenia, właściwego całej masie naszego ludu wiejskiego.



Lisków. Budynek kąpieli i mleczarni.

Ci, którzy przywykli łamać bezradnie ręce nad nizkim stanem kultury i oświaty w naszym kraju, zdziwiliby się niepomiernie, gdyby usłyszeli, że Liskowianie, ongiś rabusie i koniokrady, posiadają na wsi gromadnie uczęszczane, własnym kosztem wystawione kąpiele i łaźnię i to przy wielkim braku wody, któremu zaradzono wywierceniem studni artezyjskiej. Nie zechcieliby może wierzyć, że chłopi, którzy nie mieli pojęcia o obowiązkach obywatelskich, dziś podejmują się jak jeden mąż, bezpłatnej zwózki materjałów budowlanych na przyszłą uczelnię rolniczo-mleczarską, wysyłają celowo w okoliczne wsie fachowo u siebie kształconych instruktorów tkackich, mleczarskich, że włościanin Majdański, człowiek niezamożny, oddał dom z ziemią wartości 1000 rb. na miejscowy przytułek dla starców a mieszkaniec wsi Strzałkowa parafji liskowskiej, Wawrzyniak, dał 400 rb. na budowę domu ludowego w swej rodzinnej wiosce.

Dziwnie wszechstronną była praca Liskowian nad podniesieniem się z dna upadku, z inicjatywy dzielnego i szlachetnego ks. Blizińskiego. Chcąc się wydrzeć z rąk wyzysku tamtejszego żyda-sklepikarza, założono dziesięciorublowymi udziałami stowarzyszenie spożywcze, które przetrwało dwa przesilenia finansowe i w r. 1912 doprowadziło do 10443 rb. obrotu rocznego, 1248 rb. zysku brutto na towarach, sprzedaży nawozów sztucznych na 10800 rb. i narzędzi rolniczych za 2230 rb. Zrozumiano, że od straszliwej klęski pożaru chronić się można także nie narzekaniem, lecz założeniem straży ogniowej i ufundowaniem wspólnymi pieniędzmi przyrządów do gaszenia, tudzież wzajemnem ubezpieczeniem się na wypadek pogorzeli.

By podnieść wartość gospodarstwa rolnego, nie zawahano się sprowadzić kosztem 1200 rubli rocznie fachowego instruktora i zamawiać nowych gatunków ziarna i sadzonek, w końcu sztucznych nawozów i narzędzi rolniczych, któremi uprawiano wspólnie, kolejno role; wszystko to wbrew znanemu powszechnie przesądowi, że wieśniak „rodzi się już rolnikiem“, że uprawy ziemi nie trzeba się uczyć i że wszelkie nowatorstwa „napychają tylko kieszenie wydrwigroszom“.

Wychodźtwo za granicę i bieda po wsiach tłumaczy się brakiem środków do życia, choć wielkie masy włościan marnują bezproduktywnie ziemię.

Statystyka rządowa wykazuje z górą 900000 zagród po wsiach i osadach. Przypuśćmy, że w każdej zagrodzie jedna tylko osoba jest zdolna do pracy w ciągu 4 miesięcy, a krócej licząc, w ciągu stu dni roboczych. Gdyby tu jedna osoba zarobiła dziennie tylko 1 złotówkę, zarobek dzienny całej masy włościańskiej wyniósłby przez ten czas 12 miljonów! I to zrozumieli Liskowianie i nie poprzestali na pobożnem kiwaniu głowami nad tem obliczeniem, lecz założyli warsztaty tkackie i zabawkarnię, które to instytucje wzmogły olbrzymio dobrobyt wsi i dochody po za uprawą roli.



Wieś Lisków.

Tą samą drogą rozważań i inicjatywy energicznej jednostki powstały w Liskowie w dziesięciu latach: kółko rolnicze, kółko kobiece, mleczarnia spółkowa, wzajemne ubezpieczenie zboża, kasa pożyczkowo - oszczędnościowa, piekarnia i pralnia wspólna, spółka budowlana która kosztem 800 rubli na spłaty dozwala gospodarzowi na miejscu chałupy drewnianej, krytej słomą, wystawić dom z betonu i żelaza, kryty dachówką; dalej ochronki dla dzieci, dwie bibljoteki i czytelnia, związek katolicki i kasa pogrzebowa, teatr włościański, chór i orkiestra, przytułek dla starców, gniazdo towarzystwa opieki nad dziećmi i w końcu wspaniały dom ludowy.

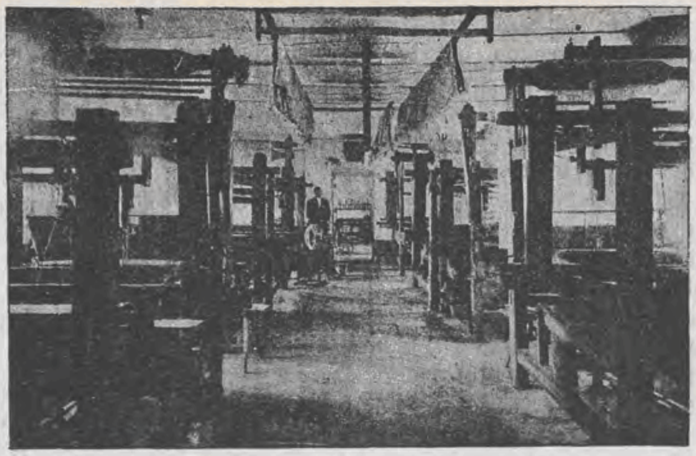
Nikt może nie ruszy z niedowierzaniem głową, gdy przeczyta słowa Marji Moczydłowskiej, autorki monografji o Liskowie:

„Przed oczyma memi zjawia się Lisków przyszłości: domy i zabudowania, urządzone według ostatnich wymagań hygjeny, przystrojone kwieciem i pięknymi ogrodami, oświetlone elektrycznością *); gospodarstwa wzorowo prowadzone, dzięki działalności instytucji rolniczych i szkoły pomnożą dochody mieszkańców, ochrony i inne instytucje kulturalne podniosą ogólny nastrój ducha, analfabetyzm **), zmniejszając się choćby tylko w tem tempie, co dziś, zniknie zupełnie a ludność bogata, zdrowa i oświecona zaświadczy dobitnie o żywotności i niespożytej sile naszego narodu".

W samej rzeczy nasuwa się uwaga, że wartość zbożnej pracy ks. Blizińskiego nie tyle leży w powołaniu do życia dwudziestu kilku instytucji kulturalnych, oświatowych i ekonemicznych, w samem podniesieniu dobrobytu Liskowa, co w stworzeniu z tej wsi prawdziwej szkoły charakterów, we wpojeniu w oporny umysł włościanina przekonania o potrzebie ofiarności na cele publiczne, w przejęciu go szczerym duchem obywatelskim i wiarą w potęgę solidarności i współdziałania. Większość wymienionych instytucji

*) Telefon we wsi już zaprowadzono.

**) W r. 1900 było w Liskowie 80% analfabetów.



Lisków. Warsztaty tkackie.

opierała się lub opiera na umowach i formach czysto prywatnych, ponieważ zachodziły niejednokrotnie trudności ustawowe, a jednak na wszystko znalazł się sposób, porada i chęć dopomożenia nietylko sobie lecz i drugim.

Jeżeli jeden człowiek w ciągu jednego dziesiątka lat potrafił tyle dokazać wśród najtrudniejszych warunków, do tego w okresie zaznaczonym olbrzymim upadkiem wsi z powodu ruchu rewolucyjnego w 1905 — 6 r., do czegóż doprowadzilibyśmy niedługo, gdyby każda wieś posiadała jednego takiego opiekuna i wychowawcę?

Czyż potrzeba nam naprawdę co chwila nowych programów działania, pogoni za kierunkami, wytycznemi i projektami uzdrowienia stosunków, gdy na Liskowie mamy żywy, praktyczny przykład, jak prostą drogą dochodzi się do ogólnej kultury?

Jednego tylko potrzeba: prawdziwego umiłowania ludu, wytrwałości i pracy.

Bolesław Bourdon.



Lisków. Przytułek dla starców.

DLACZEGO POETÓW UWIEŃCZAJĄ LAUREM.

Istnieje wiele ogólnie przyjętych zwyczajów, nad których źródłem nie zadajemy sobie trudu głębszego zastanawiania się, uważając je za coś, co powtarza się od tak dawna, iż nie warto wyszukiwać pierwotnej tego przyczyny. Bardzo często jednak zwyczaj dany powstał z powtarzania zewnętrznej formy czegoś, co ongi miało poważne i wyrozumiałe znaczenie a forma dana jest symbolem jakiejś głębszej ukrytej idei.

Wiadomo jest ogólnie, iż jako zewnętrzna oznaka poety służy wieniec laurowy, którym niegdyś wieńczono mu skronie. Zwyczaj bardzo to starożytny, biorący swe źródło w prastarej wierze w pewne specjalne właściwości przedmiotów, pochodzące z ich niezwykle subtelnych emanacji. Z źródła tego wypłynęła wiara w amulety i ich cudowne własności; na tem oparty jest też zwyczaj wieńczenia poetów laurem.

Doświadczenia starożytnych mędrców, studjujących nieznane ukryte siły przyrody, wykazały, iż liście laurowe posiadają ogromnie silny magnetyzm który służyć może jako jeden ze skuteczniejszych środków przenoszenia naszej świadomości w świat ponadzmysłowy.

Wiedzieli o tem dobrze starożytni grecy, którzy zużytkowywali wpływ ten w wyroczni Delfickiej. Jak wiadomo obecnie—na wieszczbiarkę wybierano zwykle somnabulę, to jest istotę niezwykle wrażliwą, posiadającą własność łatwego zapadania w sen magnetyczny, w czasie którego miewała ona widzenia często prorocze.

Otóż trójnóg na którym zasiadała Pythia, był zawsze pokryty laurem i to stanowiło jedną z przyczyn szybkiego jej usypiania magnetycznego i jego następstw. Laur bowiem posiada własności wywoływania jasnowidzenia zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, pomaga więc on silnie do przenoszenia świadomości ludzkiej w nadzmysłowy świat. Pod jego wpływem wieszczbiarka zapadała w trans, w czasie którego miewała wizje, sięgające nawet w przyszłość, w trakcie tym wygłaszała na tle swych widzeń sentencje niezbyt jasne, które jednak okazywały się nieraz proroczemi.

W starożytnych świątyniach greckich wywoływano też przy pomocy lauru tak zwany sen leczniczy, w czasie którego chory widział źródło swej choroby i środki, które mogą je uleczyć.

Chorych umieszczano na noc w zamkniętej świątyni, która na znacznej przestrzeni pokrytą była liśćmi laurowemi i otoczona takiemiż krzewami.

Emancje ich usypiały chorego który pod ich wpływem miewał sny lecznicze.

Słowem, laur pomagał do jasnowidzenia, do przeniknięcia niejako widzialnej powłoki, okrywających od zwykłego śmiertelnika sferą ponadzmysłową.

W starożytności *poeta* był *wieszczem*, który wchodził w bezpośrednią styczność z tą właśnie sferę. Homer, Sofokles, Eschylos, Eurypides byli *adeptami*, t. j. wtajemniczonemi, którzy poznali najwyższe światy przez misterja greckie.

W starożytności zatem poezja i siła wieszcza były ściśle z sobą związane, chcąc więc okazać, jak wysoki stopień rozwoju duchowego oraz zdolności wieszcze (jasnowidzenia) posiada dany poeta, wieńczono go liściem laurowym. Znaczyło to: „Człowiek ten wzniósł się tak wysoko, iż może on objąć wewnętrznym swym wzrokiem najwyższe światy i zadania ludzkości".

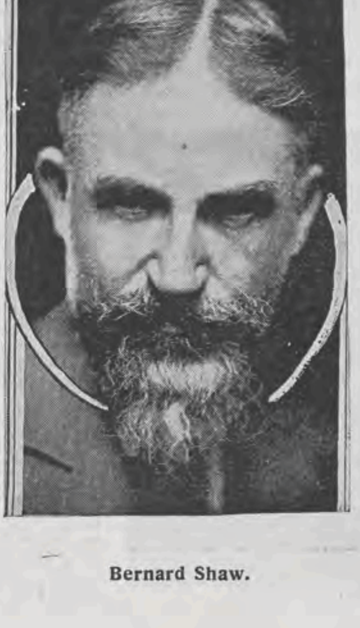
Gdy ustały misterja, poeta—wieszcz stał się rzadkością.

Ludzie z czasem zatracili istotne, okultystyczne pojęcie tego znaku, laur przestał być odznaczeniem wieszczów jedynie, każdy poeto otrzymywał laur i zwyczaj ten przetrwał aż da naszych czasów, choć stał się czczą formą, o zapomnianej, głębokiej jego treści.

Z. Skorobohata-Stankiewicz.

TEATR.

Teatr Mały.—„Major Barbara". W pewnej komedji Bernarda Shaw'a ktoś zapytuje: „Czy nie wiesz, kto jest autorem tej zjadliwej, ironicznej i zgoła warjackiej komedji?—Jeżeli w istocie — brzmi odpowiedź — jest to komedja głupstwa, komedja, w której ordynarność chodzi w parze z dziwactwem, to nie ulega wątpliwości, że ją napisał Bernard Shaw". I jeżeli wykreślimy z tego określenia przesadność epitetów, wglądając bliżej w jądro Shawowskich założeń twórczych, dojrzymy czerwoną płachtę buntu, powiewającą na gruzach utartych komunałów i ugrzecznionych teorji społecznych. Shaw z szerokiej swej piersi wyrzuca okrzyk protestu, w mrok nocy, w głuchą ciszę ciemnoty; z brawurą i szaloną odwagą toreadora chwyta prawdę za rogi i ujarzmia ją silną a wprawną ręką, to co nikczemne wynosząc na szczyt świetności, o ile tylko jest prawdziwe, niezbite, dające się sprawdzić wolną, trzeźwą logiką. „Major Barbara"—to jeden wielki aforyzm o prawdzie, i właśnie dlatego, że jest taki zwykły, codzienny—wydaje się paradoksem, fajerwerkiem wypuszczonym, gwoli oburzenia filistrów i obłudników. „Nędza jest upodleniem, zbrodnią, grzechem, bogactwo jest potęgą, a więc cnotą". Kto się wstydzi Prawdy, niech nie chodzi na „Majora Barbarę". Zbyt często musiałby się rumienić.



Bernard Shaw.

Teatr „Miniature". W teatrze „Miniature" wystawiono oryginalną operetkę p. Z. Przybyszewskiego p. t. „Kobieta Rebus". Muzyczka, bardzo zręcznie skomponowana, grzeszy jednak banalnością motywów. Libretto p. Guranowskiego, dowiodło niezbicie, że pan Guranowski nie powinien pisać libretta do operetek. *J. A.*

Z CESARSTWA.

Z Kijowa. Otwarcie wystawy zapowiedziano wprawdzie na 8 czerwca—ze stanu jednak robót wnosząc—wątpliwe, aby termin ten zastał już wszystko gotowem, tor tramwajowy np. na placu wystawy nie jest jeszcze zbalastowany, a i bocznica kolejowa, po której mają się dowozić eksponaty zaledwie się wykończa. Wszakże w dziale maszynowym, choć nie w wykończonym pawilonie, widnieją już potężne cielska traktorów, lokomobil i t. p. Przestrzeń przeznaczona na wystawę (Plac Troicki) okazała się niedostateczna, pomimo, że obejmuje 28 dziesięcin—to też dział hodowli mieścić się będzie na stokach wzgórza, na którem położony jest ogród zwany Cesarskim. Otwarcie wystawy koni wypadnie w najruchliwszym i najciekawszym sezonie, projektowana bowiem jest ta uroczystość w d. 27 sierpnia. Wystawa bydła rogatego, nierogacizny, owiec i t. p. odbędzie się po ukończeniu wystawy koni. W tym też czasie rozpoczną się: zjazdy hodowców i ekspozycja nasion. Większość budynków wznoszonych pospiesznie z t. zw. pruskiego muru, jest bardzo lekkiej konstrukcji i w pawilonie maszyn, zbudowanym zbyt delikatnie — puszczanie w ruch maszyn i narzędzi jest wykluczone—przewozić je będą w tym celu do specjalnego pawilonu—przerobionego ze stacji pomp kanalizacyjnych. Na głównym placu znajdzie miejsce trzy tysiące wystawców — przemysł Królestwa reprezentować ma niecała setka eksponentów — szczególniej ubogo przedstawia się dział przemysłu włóknistego, w dziale maszynowym natomiast przemysł polski ilościowo mieć będzie przewagę nad innymi. „Ruchoma wystawa prób i wzorów“ z Królestwa figurować będzie w głównym pawilonie. Po za konkursem weźmie udział kilka firm austrjackich—(interesująca wystawa galicyjskich uzdrowisk), nadto Szwecja, Holandja i Czechy. Kijów gościć też będzie liczne wycieczki Serbów i Bulgarów—oraz grupy 107 nauczycieli z zachodniej Galicji — rzecz prosta, że komitet ułatwi przyjezdnym pobyt ofiarowując bezpłatne wejścia, pomieszczenie i t. d. Spóźnionych deklaracji, które wciąż jeszcze napływają—komitet dla braku miejsca nie uwzględnia—jedynie w dziale koni, nasiennym i hodowli nadal bez przeszkód przyjmują się oferty.

Kijowianin.

Aleksander Bandrowski.

Zgasł śpiewak z Bożej łaski. Ktokolwiek słyszał zmarłego jako odtwórcę wagnerowskich bohaterów, kto podziwiał go jako bohatera opery Paderewskiego—zachował niezatarte wrażenie artystyczne.



Ś. p. Aleksander Bandrowski.

Aleksander Bandrowski był artystą czystej wody, szkoda tylko, że najcenniejsze skarby swej sztuki rozsiał śród obcych.

Skromny słuchacz uniwersytetu Jagielońskiego czuł w sobie siłę „fatalną“, która pchnęła go na deski sceniczne. Na razie w 1881 r. występował w operetce skarbkowskiej, wprędce jednak odczuł, że lekka muzyka nie odpowiada jego talentowi, zaczem, wsparty materjalnie przez miłośników, wyjechał na studja wokalne do Włoch. Po paru latach zadebiutował w Wiedniu i od tego czasu sceny niemieckie zatrzymały Bandrowskiego na stałe. We Frankfurcie kreował cały cykl bohaterów wagnerowskich, czem wyrobił sobie wszechświatową sławę, śpiewał potem gościnnie w różnych miastach niemieckich. W Warszawie dał się słyszeć dwukrotnie. W 1900 r. jako „Manru“, w 1907 zaś w paru najwybitniejszych swych partjach.

Dla nas Bandrowski pozostaje niezapomnianym odtwórcą pieśni polskiej.

Na koncertach w Niemczech czarował słuchaczy melodją Galla lub Niewiadomskiego, których to kompozytorów umiłował nad innych i niósł sławę pieśni naszej w szerokie sfery.

Ostatnie lata, zmęczony, usunął się od występów i zamieszkał w Krakowie, kierując nauką młodych śpiewaków, których starał się wyrabiać na artystów.

Nieprędko jednak znajdzie się talent, mogący zastąpić zmarłego.

Miecz i dyplomacja.

Zakończenie wojny z Turcją. — Nowa organizacja państwowa. — Następstwa rozbicia potęgi tureckiej w Europie. — Wśród ludów bałkańskich.]

Dnia 30 maja, w pamiętną rocznicę zajęcia Konstantynopola przez turków,—w chwili właśnie, gdy w meczecie Aja Sophia odbywano modły z powodu tej rocznicy,—w Londynie podpisany został traktakt pokojowy, kończący panowanie Turcji w Europie.

Zakończona świeżo wojna interesowała przeciętnego europejczyka poszczególnemi epizodami, bohaterstwem stron walczących, a zwłaszcza bułgarów;—nie każdy jednak zdawał sobie sprawę, że wojna ta, to zakończenie historji „starego świata“ w Europie, zakończenie istnienia na gruncie europejskim państwa, które przez pięć wieków dyktowało swoją wolę najpotężniejszym mocarzom, którego granice dochodziły do Karpat, a chwilowo nawet poza Dniestr sięgały.

Była chwila, gdy państwo to pokusiło się o panowanie nad całą Europą — a pokuszenie to rozbiło się tylko o męstwo i siłę hufców polskich. Pod Chocimem i pod Wiedniem rozstrzygnęły się losy Turcji w Europie. Od chwili gdy Jan III Sobieski rozgromił zastępy mazułmańskie. — zaczął się upadek państwa ottomańskiego. Zakończenie ostateczne odbyło się świe-

żo w Londynie. W tem wielkość i ważność chwili, jakiej wszyscy byliśmy świadkami, chociaż z ważności tej nie wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę.

Upadek Turcji w Europie pociąga za sobą inne, niemniej ważne dla Europy zmiany. Z europejskich posiadłości Turcji pozostawiono jej tylko strzępy, jakby z łaski, bo Europa nie mogła porozumieć się, komu ma przypaść Konstantynopol.

Na półwyspie Bałkańskim powstaje nowa organizacja państwowa, dotychczas jeszcze nie ukształtowana należycie, nie mająca niezbędnej spoistości, zagrożona wewnętrznemi zatargami, a może nawet wojną,—ale już wywierająca wpływ swój na układ stosunków politycznych w całej Europie.

Przez wieki cała Austrja marzyła o dostępie do morza Egejskiego, o zajęciu Salonik; przez wieki całe Rosja widziała szczyt marzeń swych w strąceniu z meczetu Aja Sophia półksiężyca tureckiego a w zatknięciu tam z powrotem trójramiennego krzyża. Drogi do spełnienia tych marzeń zostały zamknięte, jeśli nie na zawsze, to w każdym razie na długo, na bardzo długo. A następstwa tego ważniejsze będą, niżby się na pozór zdawać mogło.

W orjentacjach, w kombinacjach politycznych zajdą zmiany zasadnicze a dotkną one prawie wszystkie mocarstwa europejskie. Każde z nich inne dziś czynniki i warunki musi brać w rachubę i do nich dostrajać kierunek swych dążności, zabiegów i wasiłków ochronnych na przyszłość.

A na Bałkanach samych?... Tu właśnie zaczyna się gra nowych czynników, nowych wpływów. Austrji zależy nadzwyczaj na tem, aby nowo powstający w zarodku już tak osłabić, iżby nie miał już nigdy siły do poważniejszego rozwoju. W tym celu Austrja wymogła na mocarstwach powołanie do życia niezależnej Albanji, państwa arcy-dziwnego, bo istniejącego już, ale tylko na papierze. W tym samym celu Austrja wszelkiemi sposobami podsyca wzajemnie zawiści i pretensje państw bałkańskich, aby je doprowadzić do wojny.

Byłaby to wojna nietylko bratobójcza ale i zabójcza. Bez względu na to, ktoby z niej wyszedł zwycięzcą, umożliwiłaby wytworzenie na półwyspie Bałkańskim potęgi, z którą by się Europa liczyć musiała. Załatwienie pokojowe sporów i zatargów pomiędzy Bułgarją z jednej a Serbją i Grecją z drugiej strony rozpoczęłoby nowy okres dziejów na Bałkanach, okres pracy pożytecznej zarówno dla ludów bałkańskich, jak i dla ludzkości wogóle. *h. m.*

Biedne dzieci.

Tak wiele już mówiono i pisano o *niedoli dziecęcej* — że temat zdawałby się wyczerpanym... A jednak jest to kwestja tak żywa, tak paląca, że nigdy dosyć omawianą być nie może. I nietylko omawianą, bo nigdy wogóle żadne cywilizowane społeczeństwo a w szczególności nasze, nie może dosyć zabiegać materjalnie i moralnie, by ulżyć tej niedoli maluczkich i wydziedziczonych.

Niedola — bieda wogóle, jest dla każdej istoty ludzkiej straszną życiową naleciałością. Źródeł jej należy szukać głęboko... bądź w wadliwym ustroju społecznym, bądź we własnych indywidualnych winach, zrodzonych z tysiąca przyczyn... boć to wszystko — niesie nam... życie— ale niedola, nędza dziecięca, to straszna życiowo-społeczna Nemezis, chwytająca w swe nieubłagane kleszcze, setki, tysiące tych, poczynających istnieć a więc jeszcze zupełnie niewinnych!.. Dla tych należy czynić wszelkie możliwe wysiłki, aby im zapewnić choć trochę, choć odrobinę ogólnego prawa do życia, do codziennego kęsa chleba, do słońca i światła!..

Jak w bardzo wielu zagadnieniach społecznych, tak i w



Biedne dzieci.

tem, misja kobiet występuje na plan najpierwszy... Serdeczne ciepło i współczucie, umiejętność niesienia ulgi i pomocy — jednem słowem miłosierdzie — to kobiecy tryumf, to najcudniejszy kwiat, zdobiący ich skronie, to aureola opromieniająca ich postacie!..

Na to miłosierdzie pań naszych, czekają biedne, głodne, obdarte dzieci Warszawy...

Rycina nasza przedstawia dwoje takich najbiedniejszych dzieci, tulących się do siebie i ogrzewających się wzajemnie.



Kwiatek na rzecz Tow. Przytulisk Niedoli Dziecięcej. Samochód p. Żukowskiego prezesa „Święta kwiatka".



Femina

Piękność kobiety współczesnej.

(Dokończenie)

Moda bowiem nigdy nie uwzględnia indywidualności kobiety. Jakieś dwadzieścia modeli, dających się zazwyczaj sprowadzić do jednego lub dwuch zasadniczych typów ubrania, służy do ubierania miljonów kulturalnych kobiet, mieszkających w rozmaitych krajach i w niejednakowym klimacie.

Prawda, że w niezbyt odległej przeszłości każda kobieta, bez wyjątku, pozostawała w zupełnej zależności od woli mężczyzny.

I żadna nie wyróżniała się z pośród masy kobiet ani kulturą, ani sposobem zajęcia. Łatwiej przeto można było uwzględnić w owym czasie i rozmaite ekscentryczne wybryki mody, traktującej wszystkie kobiety masowo. W obecnej jednak chwili niejednakowy stopień wykształcenia i rozmaitość zajęcia składają się na to, że nie każda kobieta zgodzi się odgrywać bierną rolę bezmyślnej lalki.

Obecny pogląd nasz na życie i umiejętność osiągania z niego pewnej sumy zadowolenia oddziaływa nietylko na wyraz naszej twarzy, na nasze ruchy, lecz wpływa również na zmianę naszego ciała pod względem anatomicznym.

Stopień piękności kobiety współczesnej zależy głównie od jej umysłowości i charakteru. A ponieważ z dnia na dzień wzrasta liczba kobiet o wybitnej indywidualności, wzrośnie przeto wśród nich indywidualny typ piękności. Przeto i ubranie takiej kobiety dostosowane być musi do jej urody, nie zaś ona naginać się ma do kaprysów mody. To znaczy, że kobieta będzie się starała sposobem ubierania naśladować mężczyznę—zarzuci mi niejeden.

Wcale nie! Tylko zamiast być żywą reklamą dla swojej krawcowej, kobieta zachowa i w stroju swą indywidualność, co zupełnie nie ujmie jej wdzięku i elegancji.

III.

WZAJEMNY STOSUNEK OBU PŁCI i WPŁYW KOBIETY NA MĘŻCZYZNĘ.

Jednocześnie z ewolucją kobiety i ze zmianą jej stroju, zmieni się, prawdopobnia, w przyszłości stosunek kobiety do mężczyzny. Obok miłości i flirtu, niepodzielnie panujących w chwili obecnej we wzajemnych stosunkach obu płci, znajdzie się miejsce i na sympatję i na przyjaźń.

Jednem ze społecznych zadań kobiety bowiem winno być budzenie w mężczyźnie skłonności do dobrego oraz oddziaływanie na jego duszę, a nie wyłącznie na instynkt płciowy, jak to się dotychczas działo. Trwalszy i pewniejszy byłby wówczas grunt miłości, jako kwiat czarowny rozkwitającej w odpowiednich warunkach u obu płci.

Zrodziwszszy się na wyżynach, dążyłaby ona do coraz to większej doskonałości, wywierając wpływ zbawienny na tajemniczą dziedzinę uczuć zarówno mężczyzny, jak i kobiety. I choć niejeden poczytać może za paradoks ideę kształcenia instynktu płciowego, to jednak wprowadzenie tej idei w czyn stało się w chwili obecnej faktem dokonanym. Wszystkie kulturalne społeczeństwa zwalczać się starają wszelkie szkodliwe czynniki, wpływające na nienormalny rozwój instynktu płciowego, usiłując sprowadzić go na drogę normalną. A książki, obrazy lub widowiska, profanujące miłość, lub popychające do nadużyć, surowo są w ostatnich czasach piętnowane. Dążeniem zaś doby obecnej jest usiłowanie zastąpienia powierzchownej i zewnętrznej skromności lat dawnych — istotną skromnością i czystością duchową. Ćwiczenia fizyczne i upodobania w rozmaitych sportach opóźnią, bez wątpienia, budzenie się instynktu płciowego, którego zbyt wczesne funkcjonowanie zatruwa duszę i szpeci ciało. Miejmy przeto nadzieję, iż wkrótce powstanie nowa, uwzględniająca godność

ludzką, moralność płciowa, mająca za punkt wyjścia moralną piękność. Tembardziej, że zasadnicze przepisy hygieny uwzględniające nietylko teraźniejsze, lecz i przyszłe życie ludkości, krzewią się powoli i wśród naszej młodzieży. I dlatego istnieje możliwość wprowadzenia więcej skromności, a co zatem idzie, więcej trwałości i piękności moralnej do stosunku, istniejącego między obiema płciami.

Pracując nad normalnym rozwojem popędu płciowego, przekształcimy do pewnego stopnia i pogląd na miłość. Dopomożemy, by się rozwijała i podążała po linji bardziej harmonijnej, zarówno jak pomagamy niektórym roślinom, przywiązując je do podpórek, do wznoszenia się w górę wspaniałemi łodygami i pięknemi kwiatami. Zasadnicza różnica, istniejąca pomiędzy miłością kobiety a miłością mężczyzny, polega, zdaniem psychologów, na tem, że miłość kobiety rodzi się w duszy i dopiero później opanowuje zmysły, miłość zaś mężczyzny podąża w odwrotnym kierunku. Zadaniem zaś przyszłej miłości jest zniwelowanie powyższej różnicy oraz wzajemne zbliżenie ku sobie obu płci.

Piękność kobiety zależna jest od moralnego podkładu mężczyzny i tem więcej traci na swej wartości, im niżej pod względem moralnym stoi mężczyzna. Choć bowiem bardzo wolno i niepostrzeżenie dokonywa się ewolucja poglądów mężczyzny na piękność kobiety, dokonywa się ona jednak nieustannie. Dostatecznem potwierdzeniem powyższego faktu będzie porównanie utworów literackich na cześć kobiety, bądź wierszem, bądź proza, pisanych w czasach dawniejszych i w chwili obecnej. W starożytności — poeci, opiewający piękność kobiety, sławili wyłącznie powaby jej ciała. Najjaskrawiej występuje to u poetów Wschodu, podczas gdy Grecja i Rzym większem odznaczają się w tym względzie umiarkowaniem.

I tu jednak zarówno jak i na Wschodzie nie bierze się w rachubę kobiecej duszy, jej inteligencji oraz indywidualności. Wyjątek stanowią pełne fałszu, konwencjonalne pieśni trubadurów w wiekach średnich. Czyż można porównać z wyżej przytoczonymi, poświęcone kobiecie współczesne utwory literackie?

Istotnie, piękna dusza wyraz swój ma w pięknej twarzy. I ona to, a nie co innego, stanowi tajemnicę piękności. Herbert Spencer poucza nas, że doskonałość umysłowa i piękność twarzy w ścisłym pozostają związku. Piękność bowiem kobiety polega na doskonałości zewnętrznej, będącej odbiciem wewnętrznej jej istoty.

Racjonalnie stosowane przepisy hygieny, przyczynią się w znacznej mierze do podniesienia kobiecej piękności. Już samo zredukowanie liczby kobiet, dotkniętych suchotami lub cierpieniami żołądka, tak zgubnie wpływającemi na budowę szkieletu i na wyraz ich twarzy, wpłynęłoby dodatnio na utrzymanie prawa proporcji w budowie kobiecego ciała.

Piękność jest jakgdyby symbolem życia, od którego zależy ona, tak, jak zależy nasza ziemia od systemu słonecznego.

Eugenja Żypowska.

TUALETY ŚLUBNE.

O tualetach ślubnych pisano już i mówiono wiele. Chwalono rymami nawet, ich urok i poezję, to znowu zżymano się na wielkie wymagania i zbytek, któremu ten strój wyjątkowy przedstawia obszerne pole działania. Jednem słowem ślubne tualety miały i mają dotąd i zwolenników i przeciwników.

Otóż specjalny strój ślubny, należy do bardzo starych zwyczajów wszystkich narodów cywilizowanych, ma swoją odwieczną tradycję i choćby już dlatego należy ją koniecznie utrzymywać w głównych jej zarysach. Treścią, istotą tego stroju, jest wyłącznie kolor biały, myrtowy wianek i długi przezroczny welon. Całość jest symbolem dziewiczości i jej skromną osłoną a jako taka powinna pozostać na wszystkie czasy nienaruszonym i koniecznym ślubnym rekwizytem.

W Ameryce chciano w ostatnich czasach wprowadzić zwyczaj, żeby młode wdowy, i rozwódki, wychodzące powtórnie za mąż, przewdziewały tenże sam strój dziewiczy, usiłowania te jednak pozostały bez skutku, jako przeciwne logice i zdrowemu rozsądkowi. Klasyczny strój ślubny, kładzie się jedyny raz w życiu, dla tego ma tak duże znaczenie i otoczony jest urokiem pełnym poezji i specjalnego nastroju... Czy może istnieć piękniejsze zjawisko, jak młoda urodziwa panienka, w ślubnem ubraniu!... Ta uroda, ta biała powłóczysta szata, ten wianek... to cała wspaniała sympatja, to czar życia, to wonny dziewiczy kwiat, przeznaczony dla wybranego ukochanego — jedynego na całe życie.

Oczywiście, że wszechwładna moda i w ślubnym stroju zaznacza swoje panowanie, zostawiając mu tylko symbol, to jes biały wianek i welon—a zmieniając i całokształt i szczegóły według swego uznania. Suknia ślubna stosuje się wyglądem do ogólnie modnej linji, do przyjętego kroju, to jest fasonu sukien strojnych ogólnie w danej chwili noszonych — czyniąc w nich tylko różne modyfikacje zmiany zastosowane do osobistych zewnętrznych i materjalnych warunków. Inaczej ubiera się do ślubu córka skromnego urzędnika, inaczej córka rodziców średnio zamożnych a inaczej panna wielkiego domu, odpowiednio bogata. Będzie to zawsze barwa biała, wianek i welon — ale jak w każdym innym stroju tak i tu, różnica polegać będzie w materjałach—w wykończeniu, w rozlicznych szczegółach, normujących zasadniczo cenę tualety.

Przed laty i całym lat sze-

regiem, suknię ślubną w cenie średniej—robiono z białego atłasu, bardzo szeroką i długą z klasycznym trenem głowę ozdabiano *iluzjonowym* welonem przytrzymanym na wierzchołku głowy wianuszkiem myrtowym, takiż bukiet w boku, stanik pod szyję, długie rękawy, białe krótkie rękawiczki, żadnych klejnotów prócz zaręczynowego pierścionka. Tak się ubierały do ślubu nasze babki i matki. Z biegiem czasu w miarę kształtowania się mody o guście coraz to subtelniejszym, przeistaczał się i strój ślubny, a przechodząc wraz z modą różne fazy, doszedł do bajecznej estetyki, która obecnie rządzi nim niepodzielnie. Teraźniejszy strój slubny, taki jakim go moda mieć pragnie, to cały poemat dostrojony do chwili, to śliczne obramowanie cudnego obrazu, to szata umiłowania i szczęśliwości!...

Trzy nasze ryciny przedstawiają trzy różne ślubne stroje. Pierwsza to tualeta strojna ślubnobalowa. Materjał zwany *double satin*, wymarzony na draperje, miękki o srebrnych blaskach, krój modny ale wykluczający wszelką ekscentryczność, szata szeroka, zakrywająca zupełnie stopy — z olbrzymim falistym trenem, przykrytym materjałem przezrocznym, zwanym *Mousseline des Indes*. Pełny dekolt, króciutkie rękawki, długie aż do ramienia rękawiczki. Na gładko *à la vierge* upiętych włosach, upięcie z welonu, naśladujące czepeczek a przytrzymane girlandą z kwiatu pomarańczowego, takaż girlanda, idąca od ramienia w ukos do talji. Woal z *mousseline des Indes*, wązki—do ziemi.

Druga ślubna tualeta, jest o wiele ceną przystępniejsza, a jednak prześliczna. Materjał musi być bardzo cienki i miękki. *Crêpe de Chine, voile de soie, crépon, marquisette*, a nawet zwykły byle cieniuchny *woal*. Szata bardzo szeroka w rodzaju bluzy, lub starożytnych tunik, bez żadnych ozdób lub draperji, spływająca od ramion do stóp (spory tren) a przy talji przytrzymana białym sznurem, rękawki *kimono*, do łokcia, maleńki dekolt, odsłaniający tylko obsadę szyi. Na to szeroki olbrzymi welon z iluzji, długości sukni, upięcie obszyte koronką tworzy rodzaj czepeczka, opasanego kwiatem pomarańczowym. Całość urocza.

Trzecia tualeta bardzo oryginalna i otoczona jakby tajemniczością — zatraca zupełnie wszelkie kształty, wygląda jakby marmurowa, wykonana jest z ciężkiego brokatu. Krojem prostym—duży tren zaokrąglony, rękawy wązkie, długie, welon z indyjskiego muślinu bardzo oryginalnie upięty, przykrywający czoło i boki twarzy, głowa opasana girlandą z kwiatu pomarańczowego.

Do każdej ślubnej tualety nie kładzie się żadnych innych „klejnotów prócz *bezbarwnych* to jest brylantów i pereł—w braku takowych trzeba się obejść bez tej ozdoby. Każdy kolorowy kamień byłby zupełnie nie na miejscu. Prześlicznie do ślubnej tualety wygląda t. z. *Collier de chien* z drobnych pereł z brylantowemi klamerkami. Co się tyczy symbolicznego wianeczka z mirtu, zastąpiono go przeważnie równie nastrojowym kwiate pomarańczowym, uwitym fantazyjną girlandą. Przy klasycznym ślubnym stroju, nieodzowny jest bukiet, nie ów dawny sztywny skrępowany, lecz piękna wiązanka o długich łodygach, jakby od niechcenia uwita i związana białą miękką wstążką. Najpiękniej wyglądają białe róże lub tuberozy. Do ślubu nosi się wyłącznie białe atłasowe pantofelki—białe (jak teraz) gazowe lub koronkowe pończoszki, biały gorset i bieliznę. Wszystko to składa się na ten specjalny a najpiękniejszy strój w życiu... To też wszystkim narzeczonym Czytelniczkom moim, radzę szczerze nie pozbawiać się tej tualetowej uciechy, tego czarownego widoku swej własnej postaci, przybranej w urocze ślubne szaty.

Marcel



Najmodniejsze ślubne suknie.

Z RUCHU KOBIECEGO ZA GRANICĄ.

Wiadomo, że ruch kobiecy rozwinął się głównie i ogarnął kraje północne, w krajach południowych nie wiele o nim dotąd słyszano i wogóle słabo zaznaczał swoją działalność.

W ostatnich jednak czasach damy rzymskie poparte wpływami poważnych mężów stanu, zaczęły rozwijać gorączkową akcję, mającą na celu uzyskanie dla kobiet jeżeli już nie równości politycznej, to przynajmniej pewnych praw, których kobiety włoskie były dotąd pozbawione. Ostatnie wypadki dowodzą jak dalece zarząd państwowy włoski, dalekim jest od ustępstw i form w tym kierunku, w którym Francja od dawna duże już uczyniła postępy.

Przed kilkoma miesiącami ministerjum skarbu w Rzymie, ogłosiło konkurs na miejsce grawera w królewskiej mennicy. Pomiędzy konkurentami znajdowała się renomowana artystka pani *Lancelot-Croce*—uzyskała ona drugie w konkursie miejsce, lecz kiedy miała ponowić próbę, — odmówiono jej dalszego współudziału Oburzone tą niesprawiedliwością włoskie feministki z arystokratkami rzymskiemi na czele, założyły natychmiastowy protest, i w Izbie deputowanych, i n t e r p e lowały gwałtownie ministra o tę wielką niesprawiedliwość, wyświadczoną kobiecie wielkiego talentu. Fakt ten wywołał całą burzę; sprawa znajduje się teraz w Radzie stanu, feministki powołały się na Francję, gdzie kobiety dopuszczono obecnie do wszystkich artystycznych i społecznych stanowisk i gdzie tylko co, jedna z nich, zdobyła nagrodę tak zwaną „Le prix de Rome". Nie ulega kwestji, że wobec takich argumentów i ogromnego poparcia, *pani Croce* zostanie skarbowym grawerem.

Prawo głosowania dla kobiet. Przed kilkoma miesiącami jedna z paryzkich feministek ogłosiła ankietę co do prawa głosowania dla kobiet, na którą odpowiadać mieli najpopularniejsi mężowie, polityczni Francji — Z licznych zdań tych panów, przytaczamy niektóre, bardzo charakterystyczne:

Pan Clemenceau „Zanimbym dał prawo głosowania kobietom, chciałbym go odebrać wielu mężczyznom".

Pan Briand „Mamy już tyle kłopotu z głosowaniem mężczyzn, że zostawiamy w uśpieniu prawo głosowania dla kobiet".

P. Barrès jest wrogiem wszystkich teraźniejszych feministycznych ideałów. „Matki nasze były uosobieniem doskonałości utrzymuje on — „Czem będziecie wy? Nie życzę sobie, by synowie nasi mieli się o tem przekonywać. Nie życzę sobie tego również i dla naszych córek".

Ale nie wszyscy francuzcy polityczni dygnitarze są usposobieni tak wrogo dla prawa głosowania. Są między nimi tacy którzy sprawę tę gorąco popierają.

Pierwsza lekcja.

W teraźniejszym *modnym* sposobie chowania dzieci—młode matki ze sfer zamożniejszych, nawet te przykładne i kochające, powierzają i to nieledwie, że od kołyski, wszelkie około swych dzieci starania, tak zwanym freblankom lub wychowawczyniom, które obok zabiegów, zapewniających dobrobyt fizyczny dziecka, mają również rozwijać poglądowo umysł dziecka, kształtować jego uczucia, wrażenia i t. d. Nie ujmując zasług owym pierwotnym nauczycielkom, z których znaczna liczba odpowiada w zupełności swej ważnej i uciążliwej misji pozwalam sobie jednak zaznaczyć, bezwzględną wyższość zadania jakie już w samem porządku rzeczy przypada w tym razie samym matkom. Nawet przy koniecznym braku doświadczeń w tym kierunku, nic jednak, nie jest w stanie zastąpić matczynego ciepłego uczucia i wyczucia tego jak i w jaki sposób trafić do budzącej się z mroków nieświadomości duszy i serca swego dziecięcia... Jedno matczyne słowo, jedna myśl natchniona miłością i dla tego wnikająca z nieocenionym pożytkiem do umysłu dziecka, sprawią więcej, aniżeli cały szereg poglądowych teorji, choćby najumiejętniej przez Freblanki i wychowawczynie stosowany, Nasza rycina przedstawia taką właśnie *pierwszą lekcję* udzielaną przez matkę przy pomocy odpowiednich „Malowanek". Młoda mama objaśnia cierpliwie, dziecko przysłuchuje się uważnie, a korzyść z tej lekcji nieobliczona... oświeca jasnym promieniem myśli, kształci pojęcia—staje się podstawą przyszłej wiedzy.

Marcéle.



Pierwsza lekcja.

Rady i wskazówki.



W sprawie robotników łódzkich.

Jak wiadomo, sprawa braku pracy i ciężkich warunków bytu robotników łódzkich, doczekała się w Dumie interpelacji, wniesionej przez demokratów socjalnych a zwróconej do ministra spraw wewnętrznych. W imieniu Koła polskiego zabrał głos poseł Łempicki. Ze względu na doniosłość sprawy, uważamy za stosowne streścić to przemówienie, z pominięciem tych szczegółów, które już niejednokrotnie podawaliśmy na łamach *Złotego Rogu*.

Zdaniem Łempickiego, w bezrobociu należy widzieć jedno z następstw warunków nienormalnych, w których cały kraj pozostaje i skutkiem których robotnicy cierpią na równi z innemi warstwami.

Pod wpływem warunków nienormalnych życie staje się coraz cięższe dla wszystkich mieszkańców kraju; robotnik coraz trudniej znajduje zarobek, dostateczny do zapewnienia bytu; brak pracy staje się chorobą chroniczną—corocznie setki tysięcy pracowitego ludu wędruje za granicę a nawet do Ameryki w poszukiwaniu chleba. Jako do tego kraju, w którym jest już za ciasno rdzennej ludności miejscowej, z pobudek politycznych sprowadzone są całe związki robocze z gubernji wewnętnych. Istnieje dążność zastąpienia miejscowych rąk polskich na wszystkich szczeblach gospodarki przywozowej pracą wielkorosyjską.

„Jako przedstawiciele całej ludności polskiej, bez różnicy stanów, mamy sobie za obowiązek wskazywać, komu należy, niezaspokojone potrzeby narodu polskiego, w danym razie — robotników polskich.

Królestwo Polskie już obecnie jest gęsto zamieszkane. Na wiorstę kwadratową przypada 110 mieszkańców, czyli tyleż co w Niemczech a więcej aniżeli we Francji. (W Rosji europejskiej zaledwie 28 mieszkańców). Wyżywienie tak gęstej ludności i utrzymywanie jej na pewnym stopniu dobrego bytu, wymaga istnienia jednocześnie i rolnictwa postępowego i przemysłu rozwiniętego. Bez niego ciągle będzie brakło dla rąk pracy. Do osiągnięcia zaś natężenia w rolnictwie i przemyśle potrzeba żywej, swobodnej działalności społeczeństwa a zarazem istotnie życzliwej polityki rządu. Jeżeli zważyć bezstronnie warunki istniejące, trzeba przyznać, że samodzielność społeczeństwa jest u nas w najwyższym stopniu ograniczona i skrępowana przez władze rządowe. Pomimo oczywistej dla wszystkich potrzeby samorządu, Królestwo polskie jest pozbawione dotąd zarówno rad miejskich, jak powiatowych; skutkiem tego działalność i samopomoc społeczna nie mogą przybrać rozmiarów w danym razie wymaganych.

Usunąwszy społeczeństwo od zarządzania jego własnem gospodarstwem, rząd podjął się zadania ponad siły, któremu sprostać nie może.

Rolnictwo postępowe jest niemożliwe bez kredytu melioracyjnego; kredyt ten istnieje w Cesarstwie; udzielane tam są pożyczki na ulepszenia w gospodarstwie wiejskiem. W Królestwie Polskiem kredyt melioracyjny nie działa. W Cesarstwie prowadzone są na wielką skalę roboty ziemne i wodne, aby przysporzyć gruntów na uprawę. W Królestwie Polskiem takich robót wcale się nie prowadzi. Na pograniczu z Prusami leży np. puszcza kurpiowska, mająca 170,000 dziesięcin obszaru. Część jej posiada skarb, część oddano włościanom przy uwłaszczaniu. Ziemia tam bagnista, do uprawy niezdatna; posiadacze działków porzucają je i wynoszą się za granicę. Po drugiej zaś stronie granicy, w Prusach, taka sama ziemia jest doprowadzona do porządku. U nas zaś nic się nie robi.

Najlepiej rzeczy stoją z poczynaniami rządu w zakresie przemysłu. Przemysł jest wynikiem wzajemnego oddziaływania na siebie trzech czynników: bogactwa przyrodzonego kraju, kapitału i pracy. Królestwo polskie nie posiada ani wielkich bogactw przyrodzonych, ani kapitałów; pozostaje mu trzecia dźwignia: praca — i na niej polega cały przemysł Królestwa Polskiego. Ażeby owa praca zdołała współzawodnictwo wytrzymać, musi być i umiejętna, i wydajna. Tych zalet udziela pracy wykształcenie ogólne i zawodowe. Co do oświaty można słowa zastąpić liczbami. Na 1000 mieszkańców Cesarstwa przypada 43 uczniów, w Królestwie 29, w Prusach 200. Analfabeci w Królestwie Polskiem stanowią 80% ludności a śród robotników łódzkich liczba ich dosięga 64%. Należy przytem nadmienić, że szkoły rządowe, zarówno pod względem programu nauk, jako też osobliwych sposobów kształcenia, uie cieszą się zaufaniem robotników; posyłają swe dzieci do nich jedynie z konieczności. Wobec takich warunków oświaty, nic dziwnego, że praca robotników nie może być ani umiejętna, ani wydajna.

Po za szkołami oddziaływają kształcąco na robotników jawne wszędzie związki i stowarzyszenia robocze, wspierające moralnie i materjalnie swoich członków. W Królestwie Polskiem, skutkiem obaw politycznych zakładanie takich związków i stowarzyszeń o całkiem niewinnym charakterze jest połączone z nadzwyczajnemi

trudnościami, byt zaś już istniejących zależy od poglądów władzy administracyjnej.

Niepodobna się dziwić, że wobec takich warunków ogniska przemysłowe naszego kraju stają się gniazdami zamieszek publicznych, źródłem cielesnego i duchowego zwyrodnienia ludu. Oderwąnemu od roli włościaninowi miasto i fabryka przynoszą tylko zdziczenie obyczajów. W Łodzi codziennie wydarzają się na ulicach rabunki i rozboje. Fala rozbójnictwa, rozlewająca się swobodnie po naszym kraju, jest bezpośredniem następstwem tych nieznośnych warunków, wytworzonych przez system rządowy, warunków, w których robotnicy nasi żyją i wychowują młode pokolenie. Nasuwa się zaiste pytanie: czy wobec tego powstawanie ognisk przemysłowych w kraju przynosi mu pożytek czy szkodę.

A oto bezpośrednie przyczyny braku pracy w Łodzi, według relacji Łempickiego. Łódź z okolicami wytwarza towarów co rok za 250,000,000 rubli. Wskutek niewystarczającego popytu na rynkach miejscowych, część owych towarów odpływa na rynki wewnętrzne Cesarstwa. Te zaś rynki posiadają osobliwe właściwości: pokup zależy od urodzaju i podlega znacznym wahaniom, nadto ostatniemi czasy panuje tam prawdziwa epidemja niepłacenia, bankructw i upadłości. Ażeby się zastosować do takich właściwości rynku, wytwórca musi rozporządzać dużym kapitałem i działać bacznie. Te zalety są wrodzone jedynie starym firmom łódzkim.

Tymczasem od lat kilkunastu powstał w Łodzi nowy rodzaj przemysłowców, zwanych „fabrykantami bez fabryk“. Są to przeważnie żydzi, wydaleni z wewnętrznych gubernji Cesarstwa. Ci, przesiedliwszy się do Łodzi i utrzymując łączność z Cesarstwem, puścili w obrót swoje kapitały i zasileni pożyczką pootwierali fabryczki lub oddają tkaczom robotę do ich mieszkań a towar tam wytworzony, wysyłają wyłącznie do Cesarstwa. Były lata plenne, zdarzali się znamienni nabywcy, więc takie przedsiębiorstwa przynosiły dochód. Ale wypadł rok mniej urodzajny, drogi w Cesarstwie stały się nie do przebycia, jak w r. z., nawinął się kupiec nieznamienny, i oto nowi fabrykanci nie zdołali oprzeć się zbiegowi niepomyślnych okoliczności. Rozpoczęło się w Łodzi zwijanie fabryk i oddalanie robotników.

Obawa wojny wzmogła jeszcze przesilenie. Banki ograniczyły kredyt, rząd zaś nie przyjął oferty fabryk łódzkich na dostawę 13,000,000 arszynów różnych tkanin, chociaż fabryki łódzkie podały ceny niższe od moskiewskich. Zatem skurczenie się rynku wewnętrznego i odmowa intendentury były bezpośredniemi przyczynami bezrobocia. Oczywiście zaostrzył klęskę charakter spekulacyjny, narzucony ostatniemi czasy przemysłowi łódzkiemu przez nowych fabrykantów. Wogóle przemysł ten tworzy dziwne zjawisko. Kapitału dostarczają mu zagranica i żydzi; pracy — Polacy; stosunek zaś pracy do kapitału reguluje inspekcja fabryczna.

W dalszym ciągu poseł Łempicki zaznacza, że ludność nasza potrzebuje możności samodzielnego urządzenia swoich stosunków gospodarczych. Ale ów samorząd powinien odpowiadać ustrojowi miejscowemu, powinien sprzyjać rozwojowi organizmu, nie zaś kąleczyć. Warstwa robotnicza musi mieć własną organizację, musi posiąść prawa obrony spraw własnych w drodze legalnej. Musi mieć prawa zabezpieczania się od takich klęsk, jak bezrobocie.

* * *

Czy mowa Łempickiego, pełna uwag słusznych, kreśląca prawdziwy obraz stosunków, wywrze jakikolwiek skutek? Wątpić bardzo należy. Cała interpelacja poniosła porażkę, gdyż przy głosowaniu nie było w sali większości posłów. Za interpelacją oświadczyła się mniejszość głosów. A zresztą, gdyby nawet ona zdobyła większość, byłoby to zwycięztwo teoretyczne. Stan rzeczy obecny bynajmniejby się nie zmienił.

Z. Pietkiewicz.

Kursy handlowe.

Dobę obecną znamionuje nader silny ruch ekonomiczny w naszym kraju i staje się ona niemal epokową w historji rozwoju ekonomicznego. Tendencje w tym kierunku, (nie oparte na podstawach polityczno-nacjonalistycznych, jak to niektórzy twierdzą) zostały wywołane istotnymi potrzebami zorganizowania handlu polskiego, który do chwili obecnej leżał zupełnie odłogiem.

Do zasadniczych braków związanych ściśle z zorganizowaniem naszego handlu, należy w pierwszym rzędzie postawić brak ludzi odpowiednio i fachowo wykształconych. Wszak nieodpowiednia gospodarka może najbardziej zasobną w fundusze instytucję doprowadzić do krachów wprost niepowetowanych. Nam brak odpowiednich zakładów naukowych. Gdy zagranicą powstają wciąż najrozmaitsze akademje handlowe, które mają za zadanie przysposobić swych słuchaczów do przyszłego życia handlowego, u nas liczba ich jest tak minimalna, iż nie trudno policzyć na palcach. Ze względu olbrzymiego zadania powyższych uczelni, skreślimy kilka słów o uczelni tego rodzaju o kursach handlowych w naszym mieście powstających pod kierunkiem i współudziale wybitnych profesorów.

Kursy handlowe pod kierunkiem p. St. Lipińskiego otwarte na początku roku szkolnego, wkrótce wypuszczą w świat pierwszy zastęp swych słuchaczów. Prowadzone, pod czujnym wzrokiem rady pedagogicznej, wykłady należą do rzędu nauk ogólno kształcących, które w pierwszym rzędzie są nieodzowne dla współczesnych handlowców. Należy zaznaczyć, iż nakładem kursów handlowych został wydany konspekt nauki kooperatywy w opracowaniu prof. Augusta Raubala. Kursy handlowe ze względu na cel są instytucją społeczną, do naszego więc ogółu społecznego należy obowiązek poparcia instytucji, by dać możność trwałego istnienia tej ze wszech miar pożytecznej instytucji naukowej.

R. Mar.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

18)

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Huknęły powitania.

— Niech żyje nasz książę, niech żyje nasz wódz kochany!

Leciały czapki w górę.

Księcia ogarnęło dziwne rozrzewnienie: Wiarusy obdarci byli, napół nadzy, bez butów. Nogi poowijane szmatami, strzępy płaszczów, grenadjerzy zamiast bermyc mieli chustki kobiece, inni kobiece salopki zamiast płaszczów. A krwawe szmaty znaczyły ślady ran, wielu ręce miało na temblakach, inni pałaszem, niby kijem zastępowali chrome nogi.

Litość, a zarazem bezbrzeżna miłość ku walecznym napełniała serce wodza. Głosem, drżącym od wzruszenia, wołał do nich:

— Witajcie, wiara, witajcie najmilsi moi żołnierze!

Rozrzewnienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy z szeregów wysunęła się garść tych obszarpańców, wymizerowanych, zarośniętych, brudnych, ale z dziwnym ogniem i dumą w wejrzeniu; otoczywszy go kołem, zaczęła składać u nóg jego sztandary pułkowe.

Nie brakowało ani jednego z tych świetnych orłów, które ongi z takim entuzjazmem całego narodu święcono w ogrodzie Krasińskich.

Ach, nie — Na razie jednego doliczyć się nie można było.

Z gromadki wysunął się młody piechur, mizerny, wyczerpany, z ręką na temblaku, którą jednak stara się podnieść do wysokości czaka, ażeby oddać wodzowi ukłon wojskowy.

— Wasza książęca mość pokornie melduję, jako ona kukułka jest u mnie.

— Gdzie jest?

— Kiej się wstydam tego ptaka do oczu pokazać, bo mu kula armatnia rychtyk łeb urwała, że już i święty nie rozezna czy pies, czy wydra.

Po szeregach buchnęło śmiechem.

— Co się głupi wstydzisz, twoja to wina, że kule niosą gdzie nie potrza? Ano pewnieś za innymi się nie chował, to cię psiejuchy z twoją kukułką nalazły. Dawaj. jaka jest, to grunt, że ci jej nieprzyjaciel nie odebrał.

Żołnierz zdrową ręką długo grzebał w kieszeni płaszcza, aż wreszcie wyciągnął owego orła, ale tak istotnie zmasakrowanego przez strzały, że zaiste niepodobna było w tym kawałku posiarkowanego metalu rozpoznać owego groźnego napoleońskiego znaku, którego widok przerażał całą Europę.

Nowy wybuch śmiechu wśród żołnierzy.

— Ha, ha, ale ci to, bracie, nie jedna kula, a cały deszcz i to rzęsisty po onym ptaku młócił.

— Hm, młody jest, a że mu zimno było, to się rwał chłop, gdzie najcieplej.

Scena ta wycisnęła łzy wzruszenia z oczu księcia. Nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, odwrócił się i ukradkiem łzę obtarł ręką.

Wiarusy, wyobrażając sobie, że księcia zmartwił wygląd orła, zaczęli go pocieszać, że się wszystko jeszcze na dobre obróci, że natychmiast gotowi iść w bój, byle ich tylko chciał prowadzić.

— Pójdziemy do piekła za tobą, wodzu, choć i bez tych orłów... Zobaczysz, puścimy się, nie damy się!

— Wasza Książęca mość — zaczął sierżant — skapieliśmy, to prawda, ale jeszcze chłopa w Polsce stanie. Jeno krzyknąć, a pójdzie wiara za naszym księciem. A i ar-

matki będą, bo je tam nasi powoli wleką. Juści, nie mogli nadużyć, jako że to psie bestje nielekkie, a konie co było wyzdychały, ale wnet Wasza Książęca mość wszystką artylerję tu ujrzy. Ludzi tylko do nich trza i koni, to i samemu Belzebubowi tak zagramy, że się w kozi róg schowa.

Humor nie opuszczał tych zuchów. Prześcigać się zaczęli w konceptach. Rósł animusz, zaciskał się węzeł serdeczności między wodzem i wojskiem, nie ustawały hukania, okrzyki, wiwaty, zrzucanie czapek w górę. Wszystkich ogarniał jakby szał uniesienia bohaterskiego.

Książę kazał służbie przynieść wszystkie pieniądze jakie w domu posiadał i rozdawał własnoręcznie złoto wiarusom, a wraz rozstawiano na dziedzińcu stoły, ażeby bohaterom zgotować jakie takie przyjęcie.

Z piwnicy książęcej zniesiono zapasy najdoskonalszego burgundu i szampana.

Kilka pań z towarzystwa z siostrzenicą księcia, hrabiną Anettą Potocką na czele wzięły na siebie rolę gospodyń uczty i własnoręcznie rozlewały szlachetne wina książęce tym Maćkom i Bartkom, którzy też czuli się tem nieco zażenowani.

Nie mogli ani zrozumieć, dlaczego wyświadczano im tyle zaszczytu, dlaczego ich raczono takiemi specyałami, kiedy oni spełnili tylko swoją powinność, jak zresztą wszyscy inni żołnierze w wojsku.

— Ano, nie wszystkim jeno sądzono było kości do domu w zdrowiu przynieść, aleć przecie ci co polegli, porównie zasługi mają a przecie już im słodkiego wina pić państwo nie dadzą.

Wzdragała się narazie wiara od przyjmowania kryształowych puharów z rąk dam wytwornych, dopiero po wypiciu kilku kieliszków przyszła pewność siebie, bo buta żołnierska. Rozwiązały się języki i animusz obozowy wziął górę nad skromnością.

Zaczęły się chłopy cwanić przewagami wojennemi. Różne tam czyny niezwykłe każdy z nich miał do opowiedzenia, ale najczęściej się powtarzało, że kiedy inne wojska ratunkiem się trudniły, oni szli z bronią na ramieniu i ani jeden z szeregów się nie wyłamał.

Uważali to sobie za największą zasługę.

— Ja tam, opowiadał wąsaty mazur, widziałem w Moskwie wszystkiego dobra pod dostatkiem a człowiek ani się nie schylił — Niech by go djabli...

— Co tam w Moskwie! Niewiele byś bracie z tego przyniósł przez tyli kraj świata, — mówi drugi mazur, a ja ci powiem jak w wąwozie Ponarskim, kiedy furgony z kasą cesarską francuzy i kozaki do spółki rabowały, a złoto się, ot tak, po śniegu walało, tom nie spojrzał i splunął.

— Phi, bo pewnie, rzecze trzeci, złotem się nie najesz, ani nie napijesz. Widziałem ja takich, osobliwie Bawarów, co byli sobie kieszenie naładowali, że taki jucha od ciężaru maszerować nie mógł a wraz sypnęło granatami, i moi Bawarowie ziemię gryzą. Aha, mówię: Dużo ci to świńskie złoto pomogło.

Czas płynął. Mróz pod wieczór stawał się coraz dotkliwszy i ową ucztę na dziedzińcu czynił mniej przyjemną. Trzeba było wreszcie przerwać.

Porozchodziły się piękne i eleganckie gospodynie i książę żegnał się już z wiarusami.

(d. c. n.)



4) ZYGMUNT KAWECKI.

DZIEDZIC.

NOWELA.

— Więc droga dość jeszcze daleka. Odejdzie cię i impet, chociaż niby dziedziczne obarczenie, jak twierdzisz, nie popuszcza.

— Zmieńmy temat.

— Zmieńmy.

Zamienili go na długie milczenie, podczas którego Edward wywołał mimicznie flaszkę wina. (Wytrwała Bronia zaglądała co chwila, żądna dyspozycji, poczem zostawiła wino, na tacy, podała ambitnie dwa tylko

kieliszki i najambitniej w świecie odeszła, kędy ją dyurnista napełniał herbatą).

Obaj młodzieńcy ożywili się nieco. Zrazu pochrząkiwali, mruczeli, poświstywali — wreszcie Zaniewski zapytał półgębkiem:

— Jakże babcia?

W tej chwili parność milczenia uległa, w temperaturza zaszła zniżka, brzemienność skropliła się i spadł — deszcz słów.

— Babcia mówisz? Ano — taniec stai rości i wina. Jazda po piekielnej ró wn pochyłej. Buteleczki grzmią — bernardyni poszczą na hotelowych szczupakach, faktorki radzą i całują się z babcią na gębę, dwoje bezimiennych wychowanków przybyło na miłosierny stół, raty bankowe zalegają — jedną parę koni sprzedano — inwentarz kurczy się i znika — pokoje cuchną starzyzną, dla jakiejś „bardzo poczciwej zacnej istoty" umyśla babcia zgotować wyprawę ślubną i wydać ją za najstarszego kelnera — słowem grzeszy się i rozkoszne odprawuje pokuty. Jedz każdy, pij każdy, kradnij każdy byleś był nieszczęśliwym bastardem albo sympatycznym złodziejem. — Coś przecie, jak mówił dziad mój czując skon w sobie ciąży nad całym tym kramem. Z parawanów, z scenerji, z ludzi, którymi się babcia otacza, wywnioskuj retrospektywnie o przeszłości. Dziad widno spełnił głupstwo życia. Że zaś był człowiekiem — inteligentem, człowiekiem wielkiej mądrości, przeto musiał, prawem równowagi, spełnić głupstwo niebylejakie. Słuchaj — czy na takie babcie, zjadacze cudzego mienia, niema dziś Raskolnikowów? Słuchajno... (tu się naraz zasępił i prawie zadygotał) czy... naprzykład... dziwne, co myśli przywodzą... czy... ludzie kończący samobójstwem, muszą być... zawsze egoistami? Dlaczego ofiara ich życia ma iść w ziemię, święcąc tylko jedno wyzwolenie?... Dlaczego oni nie idą przed śmiercią do życia, do ludzi, dlaczego oni się nie rozglądną, nie dojrzą, nie wykradną tajemnic cudzego nieszczęścia, i dlaczego, sami schodząc, nie mogą komuś lub czemuś usunąć z drogi zawady i tak podwójnym chrztem śmierci wyłonić bliźniej jednostce widnokręgi swobody, zelżyć ciężaru, ująć strapienia?... Ha... czy te bohatery sądzą, że na ich koziołku w nicość kończy się już wszystek ból świata?... A przecież już wszystko jedno... nieodpowiedzialni... tragiczni... zagadkowi... reporterja zachodzi we łby... związek dwu zgonów?... Nie wiem, czy jestem zrozumiały... Ździchu...

Zaniewski słuchał był, mieniąc się na twarzy, zakąsając usta — a chwilami przymrużając oczy i patrząc z podełba na rozgorączkowanego opowiadacza. Gdy go zaś o jasność teorji zapytano — oparł się wygodnie w krzesełku, zajrzał Edwardowi wprost pod czaszkę i rzekł z niebotyczną satyrą:

— Przejasnyś, panie dziedzicu.

Rączy strumień krwi rzucił sieć rubinową na policzki Edwarda. Teoretyk wypuścił z rąk papierosa — pochylił się, podniósł go, strzepał—i tak mechaniczną czynnością zapełniwszy widome motory swej psychy — ozwał się następnie z bezbrzeżnem niedołęztwem.

— Ty Ździchu nie bądź głupi i nie myśl wcale o samobójstwie. Wszystko minie — rzeczy wejdą same przez się w swe koleje.

Zdawało się przez chwilę, że Zaniewski ryknie ze śmiechu — tak się pasował komicznie, wstawszy z siedzenia. Ale wraz się zmógł, wydął wargi, nosa wydłużył, sam zmartwiał, znieruchomiał i sztyletami swych oczek kłuł błędnie grający wzrok Edwarda.

Tak obu im upłynęła chwila komicznej, nieznośnej, tragedji.

Edward przebąknął jeszcze na temat: Idź durniu, gdzie tobie do samobójstwa i współrzędnej ofiary dla mnie!

A Zaniewski na to:

— Zobaczymy! Wołaj wina!

* * *

Wieczorem następnego dnia, około godziny pół do dziesiątej wszedł Zaniewski Ździch do hotelu. Mierzył wciąż do drzwi babci Teodory. W przechodzie zdało mu się, że na drugiem końcu ciemnawego korytarza zamajaczył Edward — że na chwilę stanął jak skamieniały i osunął się potem w cień. Nie kontrolując bliżej halucynacji stanął przed pokojem Polińskiej. Otworzył drzwi leciutko i wszedł chyżo a aksamitnie.

Halucynacja zaś jego stanęła, przyparta do muru błyskiem piorunowych przypuszczeń.

Edward wsuwał się właśnie na swe zwyczajne nocne krążenia. Zoczywszy przyjaciela, przeżył w sekundzie wszystkie akty swego teorjo — dramatu.

Więc, choć mu nogi tańczyły, wyczuwał i słyszał i widział w cieniu framugi dojrzały czyn wczorajszego zalążka. Oczy przywarły mu się, dusza ściągnęła się w sobie — i tam w teatrze swego wnętrza był widzem mordu, który odbywa się kilkanaście stąd kroków, pod tym samym dachem. Zdzich mówi — niech będzie pochwalony— by nie wzbudzić podejrzenia — podchodzi do siedzącej przy stole, pochyla się niby do ucałowania rąk i wtem chwyta za gardło, by krzyk wczas zadusić... równocześnie drugie ramię, dotąd sztywne i jakby do biódr przylepione, wypręża, zgina — a oto błyszcząca igła sztyletu siedzi już w starej i zeschniętej piersi i w starem, nieużytem sercu.

Uwinął się sprawnie, złośliwie jak małpa. Oczy mu się palą, uszyma i otwartemi usty łowi finalne rzężenie staruchy i w trwożnej uciesze, że czyn był bezgłośny, nie czuje jak babcia osuwając się ku ziemi, kurczowo chwyciła go za włosy na karku, jak go paznokcie drą i jak wreszcie bezwładna masa padając przygniata mu nogę, na którą przyklęknął. Szarpnął się, przewrócił krzesło i poderwał obrus ku ziemi, tak że talerze „konsumei“ z brzękiem się potoczyły. To go chwilę przeraża — konsternuje — uciekać! Drzwiami? Nie?.. O! na mankiecie krew — zdradzi się! ujmą go! Oknem! wysadza okno, wyskakuje do ogródka hotelowego i strzela do siebie (Tu miał Edward przebłysk krytyczny, ledwie uświadomiony: poco ci uciekać? trupa się boisz? zmiana miejsca? Komedjant!)

* * *

Dziwna to rzecz przecie, że kiedy koncepcja zamachu — jakby to rzec?... aha!... niby paroksyzm jasnowidzenia zdjęła Edwarda, naówczas on, w teorji mocarz, w rzutach myśli orzeł, w praktyce padł od obuchu ziszczeń i głową swą naraz zaćmioną uderzył, zatoczywszy się o drewnianą podłogę, aż huk poszedł ponury, głuchy... jak gdyby idea sama, niby bania, przesiliwszy się, runęła zbita u progu rzeczywistości.

Hm...?

A dlaczegożeś ty, młodzianie, po prostu nie wziął nóg za pas i nie pobieżał przeszkodzić zbrodni? Pomysł takowy musiał zapewne drgnąć w tobie, podnieść się z najgłębszego podłoża nieświadomości i chwiać się ku nazwaniu, ku powzięciu w twej duszy...

Aleś ty, silnie pragnąc, zabił go w genezie, nie dopuścił, nie ogrzał. Polip utajonej rozkoszy oświecił cię, ścisnął, znieczulił... a pani suggiestja kazała ci urządzić sobie fajerwerk omdlenia, więceś padł bezprzytomnie przytomny, że tym kształtem zyskuje się na czasie, żeś ekspjator, żeś się dzieła swojego ty sam przeraził, że się kajasz... ale gdy tam! nitkę żywota przecina się już niechybnie.

(d. n.)

4) STEFANJA ZAJASZEWICZOWA.

REWOLUCJONISTA.

NOWELA.

Moloch — ludzkość pożera wolność i dorobek człowieka. Moloch — natura — pożera wszystko. Walką i śmiercią indywiduów podsyca swoje wiekuiste życie... mówił podniesionym mimowoli głosem, Zarzeński.

— A więc? — spytała cicho Iza.

— A więc — zbuntować się przeciw naturze, wyłamać się z pod jej praw!

— W jaki sposób?

— Wyrzec się miłości! rzekł z przekonaniem Zarzeński. Tylko w ten sposób ludzkość może zatryumfować nad straszną, tajemniczą władzą, która każe jej rodzić się, żyć i umierać w męczarniach!

— To byłoby wielkie! — wykrzyknęła.

Zarzeński pokiwał głową beznadziejnie.

— Niestety! tłum — owo ślepe narzędzie natury — nie dojdzie nigdy do zrozumienia prawdy. Niezwykłych trzeba jednostek, żeby się ośmieliły stawić czoło wrogowi, by miljardom istot oszczędziły gehenny bytu ziemskiego!...

Iza słuchała z bijącem sercem.

Ona była tą niezwykłą istotą — ona pogardza miłością...

Zamyśliła się. Kilka zdań Zarzeńskiego wypowiedzianych z ogromnym patosem, uszło jej uwagi. Spostrzegła się i poczęła słuchać, patrząc pilnie w ogniste oczy mówcy.

— Samobójstwo... I cóż może być mądrzejszego? Po co czekać, aż choroba, ten policjant śmierci, uchwyci za włosy i do dołu z robakami zaprowadzi?

Iza słuchała ze skupieniem. Po chwili zauważyła nieśmiało.

— Mnie się zdaje, że i samobójstwo następuje za zgodą natury...

Zarzeński się zastanowił.

— Istotnie, ma pani słuszność. Mądra monarchini daje rewolucjoniście truciznę, nóż, stryczek, mówiąc: odejdź, nie bróździsz mi w moich planach! I malkontent znika — by po jakimś czasie — zakwitnąć niewinną niezapominajką nad bagnem, lub odrodzić się w cielęciu potulnem, idącem do rzeźni. Wszystko znów powraca do porządku...

Iza w słowach Zarzeńskiego znalazła odbicie własnych rozmyślań. Pobudziło ją to do zupełnej szczerości.

— Oddawna mi życie cięży... przyznała się. Nie wiem, co robić i czy warto wogóle coś robić. Gdybym mogła uwierzyć w coś mocno! mocno!.. Wszystkie myśli, siły, życie nawet dla jakiegoś celu poświęcić... gdybym mogła!

— Gdyby!.. powtórzył jak echo Zarzeński. Tak — wiara daje możność istnienia Jest jeszcze coś po za wiarą: nauka. Praprzyczyna zdaje się być niedocieczona, samo jednak badanie mechanizmu kosmicznego jest rzeczą ciekawą... Istotom o złamanych skrzydłach, nie pozostaje nic, prócz tego, co im skrzydła złamało: analizy... Westchnął mimowoli.

— Ależ życie analizy się boi! jest ona jego przeciwieństwem — daje wstęp do życia! — zawołała Iza.

— Nic... więc nie pozostaje nic... szepnęła po chwili jakby do siebie, schylając nizko głowę. Po chwili ją podniosla.

— Niech mi pan szczerze powie, proszę... czy życie nic pana nie nęci? Nie przeraża zupełnie pana myśl o śmierci?

Zarzeński podniósł dumnie głowę.

— Gardzę tem wszystkiem, co ludzie nazywają rozkoszą! Odejdę, jak król od żebraczej uczty, gdy będę uważał to za stosowne...

Iza była silnie wzruszona. Na jej blade policzki wystąpiły ciemne rumieńce.

— Istoty mądre, wyzwolone ze ślepego posłuszeństwa życiu, dumne i czyste, umierają z własnej woli... dodał z naciskiem Zarzeński.

Iza bezwiednie przytaknęła głową.

Spojrzenia obojga spotkały się. Gorzał w nich posępny płomień, podobny do błędnego ognika na grobie...

Zarzeński ujął zwolna drobną rękę Izy i złożył na niej długi pocałunek.

— Witam w pani rewolucjonistkę... — rzekł cicho i uroczyście.

. . . .

Nazajutrz Iza dostała telegram z zawiadomieniem o śmierci krewnej, zamieszkałej w Krakowie. Wyjechała natychmiast, chcąc zdążyć na pogrzeb. Zaledwie po tygodniu powróciła.

Z przyjemnością powitała Pustelnię i Zarzeńskiego, który wybiegł przed ganek z pośpiechem ua jej spotkanie.

Ostatnia rozmowa postawiła ich z sobą na stopie dobrych, zażyłych znajomych. Widywali się często, rozmawiali całemi godzinami. Dobrze było im z sobą.

Zarzeński był wykształcony, podróżował wiele, opowiadał swoje przygody zajmująco. Towarzystwo jego miało ogromny urok dla Izy, widującej zazwyczaj liczne a nieciekawe grono krewnych i przyjaciół swego męża. Poddawała się bez obawy czarowi. Wszak oboje byli wyżsi nad zwykłe namiętności ludzkie. Łączyło ich głównie uczucie buntu — chęć wyzwolenia się z pod despotyzmu natury, bodaj przy pomocy śmierci.

Często myślała o dziwnym zbiegu okoliczności, który ich dwoje, tak do siebie podobnych, zbliżył niespodziewanie.

Zapragnęła wielkiej, bezinteresownej przyjaźni, któraby rozjaśniła jej puste, beznadziejne życie... Jeden tylko człowiek rozumie jej duszę... Zarzeński!

I — jak zakwitający blado pierwiosnek wśród topniejących śniegów — zjawiło się nieśmiałe, półświadome marzenie — o wspólnej z nim śmierci...

. . . .

Jakkolwiek zaprzątnięta własną osobą, zauważyła jednak Iza zmianę w Anielce.

Dziewczyna stała się jakaś niezwyła — to cicha i milcząca, to znów śmiejąca się i śpiewająca, niby po dawnemu, a jednak jakoś nienaturalnie i gorączkowo.

Porębski zachodził często do „dziedzica“ po dyspozycje — odświętnie ubrany i wygolony. Zawsze umiał się tak urządzić, że choć kilka słów zamienił z Anielką, która wyraźnie w oko mu wpadła.

Raz, chodząc po ogrodzie, Iza spostrzegła ciemną sylwetkę mężczyzny, znikającą w gęstwinie bzów za altaną.

Zaciekawiona poszła w tę stronę.

W altanie siedziała Anielka. Miała różową, zapłonioną twarz, różową sukienkę i różę we włosach. Aż ją całą łuna oblewała od tej różowości.

Zobaczymy Izę, zmieszała się bardzo i uciekła.

Coś się tu święci! pomyślała Iza. Niedarmo Porębski krążył od rana po zagajnikach... I to się nazywa miłość! skrzywiła się pogardliwie. Nędzne heloty natury! Lepsze miała wyobrażenia o guście Anielki.

Przez chwilę trapiła ją myśl, że jest poniekąd obowiązana do opieki nad młodą dziewczyną, ale zaraz poczęła rozumować.

Prawa instyktu nad taką pierwotną naturą okażą się napewno silniejszemi, niż perswazje. Zresztą, wolność jest najdroższym skarbem... Niech Anielka robi, co się jej podoba. Sama poniesie następstwa.. Iza zbyt jest zmęczona życiem, by jeszcze innych ochraniać... Problemat własnego istnienia wypełnia jej myśli całkowicie.

Nie zajmowała się więcej Anielką.

Zarzeński stale dotrzymywał towarzystwa Izie, wyręczając się w objazdach Porębskim. Filozofowali na ulubiony temat, niby dwoje Hamletów, przyczem zazwyczaj Iza wiernem bywała echem swego mistrza.

Razu jednego wypadło tak, że Zarzeński musiał być osobiście na jednym z folwarków, wyjechał więc o świcie — wrócić miał zaledwie wieczorem.

Dzień ten wydał się Izie bezbrzeżnie długim. Tęskniła za towarzystwem sąsiada. Przebiegła myślą dni razem spędzone, od pierwszego poznania. Przypomniała sobie, jak się przeraziła na wieść o jego przyjeździe. Rozśmieszyło ją to.

Srebrzyście zadzwonił ten śmiech w wielkiej sali. Iza aż się obejrzała. Jakto? ona się roześmiała? śmiać się potrafi?

Po koniec dnia denerwowało ją i nudziło wszystko.

Postanowiła zająć się czemkolwiek. Odnalazła haft dawno rozpoczęty i zabrała się doń gorliwie. Okazał się brak niezbędnych nożyczek. Trzeba było położyć robotę i szukać. Nagle Iza przypomniała sobie, że widziała w szufladce Anielki przybory do szycia. Rzeczywiście, nożyczki znalazła, a przy tej sposobności przeczytała bruljon listu, pisany ręką szwaczki. Leżał na wierzchu... trudno było oprzeć się pokusie... Nawet wahała się przez chwilę, ale ciekawość wzięła górę — ciekawość spraw sercowych drugiej kobiety...

Czytała:

„Ukochany mój panie i królewiczu!

Może nigdy czytać nie będzie mój królewicz tego, co tu piszę, ale ja muszę powiedzieć choć papierowi o mojem szczęściu, choć udawać muszę przed całym światem, jakby nic nie było, i muszę wyspowiadać się choć na piśmie z mojego serdecznego kochania, że już większego być nie może, i z mojego utęknienia po całych dniach, bo w te chwile, kiedy jestem przy moim panu i królewiczu, to taka jestem szczęśliwa, że i mówić nawet nie śmiem, a tylkobym obejmowała nogi mojego pana za to szczęście moje i po rękach go całowała za to, że mnie pokochał. Złoto moje najśliczniejsze, mój anioł z nieba... Żeby jaknajprędzej te godziny do wieczora zleciały, żeby mój pan i królewicz aniołkiem mnie nazwał, jak nieboszczka mamusia moja na mnie mówiła...

Iza położyła kartkę na dawnem miejscu z ironicznym uśmiechem.

Niemądra dziewczyna... tak się zakochać w łysym Porębskim! Odwieczny instynkt samicy!

Zabrała się gorliwie do haftu.

Zarzeński wrócił późno. Nie widzieli się z sobą tego wieczoru.

. . . .

(d. n.).

6)

HERMAN BANG

Cudowne dziecko.

(Z duńskiego).

(OPOWIEŚĆ).

— Wyprostuj się! Czemu się nie uśmiechasz?.. Wyprostuj się, ukłoń się!..

W sali nie poruszyła się ani jedna dłoń.

— Kłaniaj się, kłaniaj!

Skrzypce Karolka wydawały tony cienkie, ostre jak igły.

Pan de las Foresas z rozpaczy drapał cudownego skrzypka paznogciami, aż do krwi...

Podczas ostatniego numeru Karolka, pan Teodor Franz stanął obok pana de las Foresas za portjerą.

— Jak on stoi! — rzekł pan de las Foresas.— Jak on wogóle stoi ostatniemi czasy!..

— Łaskawy panie, on stoi jak stał, w krótkich majtkach.

Pan Teodor Franz wyszedł.

Pan Teodor Franz wygłosił rzeczywiście niemiłe dla pana Emmanuelo de las Foresas zdanie.

Charlot Dupont otrzymał kilka łaskawych oklasków — z górnego balkonu...

— Wychodź, wyjdź-że... — darł się pan de las Foresas, — wychodź idjoto!..

— Uśmiechnij się, uśmiechnij — do stu tysięcy djabłów!

Pan Emmanuelo de las Foresas ostatniemi czasy klął bardzo gęsto.

Cudownemu skrzypkowi zmniejszono honorarjum do połowy.

Karolek nie dziwił się temu bynajmniej. Jeśli wogóle jeszcze czego oczekiwał — to tylko tego.

Ale kiedy wieczorem, po koncercie, siedział na podłodze koło instrumentu pani Simonaine — było to jego ulubione miejsce — przytulił swoją głowę do fortepianu znużony i smutny.

Było mu zawsze smutno, gdy patrzał na nią i gdy ona grała. Karolkowi wydawało się wtedy, iż bardzo jest nieszczęśliwy.

Towarzystwo przejeżdżało z miasta do miasta. Pan Teodor Franz w większości wypadków wyjeżdżał naprzód. Śpiewaczka jeździła w przedziale dla palących z panem Emmanuelo de las Foresas.

Madame Simonaine rozkładała pasjanse na niemej klawiaturze, którą Karolek trzymał na swych kolanach.

Baryton często opowiadał anegdoty. Znał on conajmniej po jednym skandalu o każdym wirtuozie w Europie.

Madame Simonaine otwierała szeroko swe oczy i śmiała się tak, że upuszczała karty. Karolek rumienił się i czuł się wielce nieswojo, gdy się tak śmiała...

— Co robiła? co?..—spytała pani Simonaine.

— Nic, tylko co wieczór jadła kolację bezpłatną — przy całej swej niewinności...

Słodki liryczny tenor spoglądał z poza gazety. Ten zawsze siedział z gazetami, których nie umiał czytać i szukał w nich swego nazwiska...

— A czy zna pan anegdotę o jej mężu? — spytał tenor.

— Nie, a jaką?

— Za każdym razem, gdy na świat przychodzi nowy Lizecki, ten najsamprzód sprawdzi do kogo z jego przyjaciół jest noworodek podobny a następnie idzie i zaciąga pożyczkę tysiąca franków — u odpowiedniego...

Karolek bardzo pragnął, aby pani Simonaine przestała się śmiać.

Najlepiej czuł się, gdy siedziała w milczeniu, z rękami złożonemi na kolanach. Uśmiechała się nieraz w milczeniu do siebie a oczy miała takie jasne...

Karolek czuł się wtedy tak szczęśliwy, iż krew mu falą napływała do serca.

Coraz bardziej stawał się niezgrabny. Wciąż starał się chować swe ręce i zawsze wskutek tego potykał się.

Ubranko dokuczało mu niezmiernie. Dziecinne kostjumy z koronkami — na wysokim, dorosłym chłopcu!

W numerach hotelowych siadał zazwyczaj gdzieś w kącie. Tam siedział wystraszony, z głową przechyloną na ręce, nieruchomo przez kilka godzin.

Zadowolony był, iż przynajmniej teraz nie miał żadnej potrzeby mówienia.

Karolek zawsze przeczuwał porę, gdy chłopcy miejscy wracali ze szkoły. Stawał wtedy przy oknie i patrzał na tłumy chłopców, powracających do domu z kajetami pod pachą. Oczy jego były tak senne, iż, zda się, całkiem były przymknięte.

Inne wszechświatowe znakomitości z „Drogi Mlecznej" pana Teodora Franza przechadzały się nerwowo po pokojach hotelu.

Nie lubiły snadź pozostawać w samotności, Nerwowe i zagniewane chodziły sam na sam. a zawsze im było to chłodno, to znów zanadto gorąco...

Wszyscy mieli jakieś choroby, jak również całe arsenały flakoników z lekarstwami.

Przeważnie wysiadywano u pani Simonaine, która, to siadała do fortepianu, to wstawała, to bębniła gamy.

Karolek nigdzie nie chodził, siedział znieruchomiały i wyczerpany tą niespokojną kompanją. W pokoju nie było ani jednego krzesła, na którem by nie przewracała się jakaś brudna koszula... Pan Emmanuelo de las Foresas miał bowiem bardzo dużo bielizny.

Wieczorem, przed koncertem, wszyscy zebrali się u pani Simonaine w oczekiwaniu powozów.

Madame Simonaine i śpiewaczka siedziały podczas koncertu w „pokoju dla uczestników," słuchając komplementów od reprezentantów prasy. Prowadziły konwersację w tonie chłodnym

wielkoświatowych dam z krytykami, którzy smętnie siedzieli w swych eleganckich czarnych frakach, rzucając z ukosa okiem na brylantowy naszyjnik pani Simonaine i, uśmiechali się dwuznacznie...

Madame Simonaine cały swój majątek miała ulokowany w brylantach. Podpierała niedbale swą dziecięcą główkę ręką, iskrzącą się od brylantów i uśmiechała się ze spokojem, pełnym zadumy.

Karolek o wszystkiem zapominał. Stał nieruchomo w kącie i patrzał.

Wyganiano go, dla wykonania swoich numerów Ale on wracał tu, jak ćma do światła. Wszakże tu była ona, ta piękna i okazała!

Wchodziły jakieś obce panie z kwiatami. Pani Simonaine brała kwiaty, dziękowała i całowała owe panie w oba policzki.

Po koncercie, reprezentanci prasy pomagali pani Simonaine oraz śpiewaczce kłaść swe futrzane narzutki; panie brały krytyków pod rękę i pozwalały odprowadzać się do powozów. Odjeżdżając, uśmiechały się z bukietami w rękach z poza szyb powozu.

— Idjoci! — mówiła pani Simonaine.

Kontralto wysuwała język i obie śmiały się, jak dwie figlarne pensjonarki.

Karolek czuł, że się rozpłacze, gdy pani Simonaine nie przestanie się tak śmiać. Siedział w cieniu i tak ściskał swoje dwa laurowe wieńce, iż ból czuł w palcach...

Pan Emmanuelo de las Foresas stał się posiadaczem tych dwuch wieńców. Rzucono je cudownemu skrzypkowi po odegraniu „Kakadu der Schneider".

Po koncercie, wszyscy byli w wesołem usposobieniu. Jedli kolację, porozbierani z kostjumów, w salonie pani Simonaine. Rozmawiano o wirtuozach i wirtuozkach. Często mówiono o pieniądzach.

Śpiewaczka była bardzo bogata, była ona w posiadaniu kilku miljonów oraz zamku w Normandji. Pani Simonaine miała również wcale pokaźny majątek. Tysiącami rzucała na wiatr...

Mówiono o tem, ile kto zarabia. Dziś bowiem wypłacono im część dochodu z wieczoru, wywnioskowali z tego, że mogą mieć za cały wieczór piętnaście tysięcy franków...

O złocie, o pieniądzach, mówiono z ordynarną chciwością.

— Sztuka, — mówiła pani Simonaine, — alboż znajdzie się choć dziesięciu ludzi, którzy ją rozumieją? Kobiety patrzą, czy piękne mam palce, mężczyźni patrzą na moje ręce — oto sztuka! Sztuka... cha, cha, cha! Nie, wolę już być bogatą!

Niekiedy znów opanowywało ich niemożliwe sknerstwo; wołano kelnera i skarżono się na nadwyżkę w rachunku o kilka groszy! Nie, oni nie życzą sobie tego, by ich oszukiwano! Jeżdżą przecież nie dla własnej przyjemności! Jak również nie poto, aby wzbogacać hotele! Oni jeżdżą — aby zbijać pieniądze!

Nieraz odjeżdżali, nie pozostawiwszy kelnerowi ani grosza napiwku. Kelner zaś nieraz biegał dla ich zachcianek do późnej nocy.

— Co? Może mam znosić ten motłoch przez całe życie? — mówiła pani Simonaine. — Nie, ani myślę znosić tego, do późnej starości... Jeżdżę przecież poto, aby zebrać majątek...

Nazajutrz rano pani Simonaine znowu cisnęła na wiatr tysiąc sto franków na jakiś kindżał damasceński...

— Ci ludzie wyobrażają sobie, że mnie to bardzo interesuje, gdy oni rozdziawiają gęby — rzekła pani Simonaine.

Z ironją mówili o tych nieszczęśliwych, którzy śpiewali, nie mając głosu, lub bębnili na fortepianie wprawnemi rękami, ponieważ byli biedni i musieli także żyć...

Karolek słuchał. Słuchał bez drżenia, gdyż w nim już dawno wszystko zdrętwiało. Wydawało mu się tylko, że jest bardzo wyczerpany, że ręki nie może podnieść...

Kiedy kładł się spać — płakał z rozpaczy. Płakał, że nosi ubranie kroju wciąż tego samego; płakał i przez panią Simonaine, i że już więcej go nie oklaskiwano, i że pani Simonaine mówi tyle ohydnych rzeczy...

Razu pewnego wieczorem, Karolek długo leżał, patrząc na kominek, na którym palił się ogień. Poczem zeskoczył z posłania, wziął dwa suche laurowe wieńce pana de las Foresas i ze złością cisnął je w ogień.

. . . .

Towarzystwo otrzymywało gazety zawsze nad ranem, po koncercie. Na czytanie nie było czasu, patrzano więc tylko na wiersze, ile o każdym z nich było wierszy i starano się odgadnąć sens słów. Karolek nigdy nie brał gazet, gdy drudzy je czytali. Ale po obiedzie, kiedy już tamci pozapominali o recenzjach, wynosił pocichu gazety, rozkładał je w swym pokoju, w kącie, jedną po drugiej u siebie na kolanach i patrzał na jedno mizerne zdanie, w którem wspomniano o „fenomenie świata" o — Charlot Dupont.

Raz po kolacji pani Simonaine przerzucając nuty rzekła:

— Ach, jakie to cudne! Gdybyśmy też mieli w trupie skrzypka! Ach, prawda, — tu się zaśmiała, — przecież Charlot Dupont gra na skrzypcach...

— Charlot Dupont — przynieś pan swe skrzypce.

Karolek wziął skrzypce i zaczęli grać razem.

Po kilku taktach skinęła głową.

— Ależ pan grasz wybornie! Pan grasz zupełnie, jak należy!

Karolek grał niby we śnie. Widział wyraźnie tylko nuty i jej twarz.

— Dobrze, dobrze Charlot.

Zdawało mu się. że pani Simonaine prowadzi go gdzieś za sobą. Grał ze łzami w oczach. Czuł, że lada chwila — a rozpłacze się.

Skończyli.

— Drogie dziecię, przecież ty masz talent,— rzekła pani Simonaine. — Charlot, będziemy teraz grywali razem.

Karolek nigdy nie przypuszczał, żeby mogło z nim stać się coś podobnego. Odtąd pani Simonaine grywała z nim od rana do wieczora. Rzucała na niego swemi jasnemi oczyma i śmiała się, gdy jaki „kawałek“ udawał się. Przystosowała się grą do jego gry i chętnie oddawała cały swój artyzm do jego rozporządzenia.

— Ależ to wprost zbrodnia; ten chłopiec ma talent! Będziemy grywać razem na koncercie.

Jakoż wystąpili razem. Kiedy Karolek znowu usłyszał po raz pierwszy od tak długiego czasu burzliwe oklaski, łzy mu stanęły w oczach. Gdy wyszli, Karolek porwał ręce pani Simonaine, całował je i szeptał jakieś niepojęte słowa, słowa, które zagłuszało szlochanie.

Numer ten stał się atrakcją koncertu i pani Simonaine zażądała, aby Karolkowi odtąd dawano jego poprzednie honorarjum.

Teraz Karolek stale przesiadywał u pani Simonaine. Siedział przy fortepianie, gdy ona ćwiczyła się. Pani Simonaine paplała wiele, jak dziecko, podczas gdy jej zręczne palce mknęły po klawiaturze. Śmiała się dźwięcznym śmiechem dziewczynki i odzywała się doń dziwnie czułym głosem. Przyczem twarz jej nabierała co chwila innego wyrazu. Była swawolna jak kotka, ta śliczna pani Simonaine.

Karolek wiedział, że teraz dla niego jest jedno tylko szczęście: siedzieć i czuć jej obecność. A pozatem — być samemu i myśleć o niej, długo, długo, do późnej nocy i całować tę trochę kwiatów, zabranych u niej, które nosił na szyi w medaljonie...

Tournée skończyło się. Każdy udawał się w swoją drogę. Pani Simonaine zamierzała odbyć tournée po Ameryce.

Karolek nie myślał o tem, że niema on już teraz żadnego engagementu, nie myślał również i o tem, iż będzie musiał wracać do Paryża, na szóste piętro. Miał przed oczami: rozstanie z panią Simonaine, to też zdawało mu się, że musi umrzeć...

Był to ostatni wieczór. Nazajutrz rano miał wyjechać. Pani Simonaine zaprosiła pana Emmanuelo de las Foresas oraz Karolka do siebie, na kolację — tylko ich dwuch.

Karolek nic nie mówił i nie tknął żadnej potrawy.

— Jedz pan, panie Charlot, — rzekła pani Simonaine. — Wszakże to pańskie ulubione potrawy!

Karolek jadł machinalnie.

— Dziękuję! — rzekł.

Siedział jak nieprzytomny, utkwiwszy w nią oczy, niemy i bezradny.

Wiedział tylko jedno, że teraz jego szczęście skończyło się.

Oto teraz, dziś wieczór, skończyło się. I nie było żadnego wyjścia, literalnie żadnego...

Pan Emmanuelo de las Foresas czuł się obrażonym.

Pan Teodor Franz zbyt ordynarnie postąpił sobie panem de las Foresas.

— Pan porzucasz mego Karolka w krytycznej chwili, — rzekł mu pan de las Foresas nad ranem.

— Wie pan co? To niezłe, co pan powiada!...

— Zwłaszcza gdy się należy do wyższej sfery... — dodał pan de las Foresas.

Skończono jeść. Pani Simonaine grała. Karolek siedział na podłodze, głową oparty o fortepian.

— A zatem pan jedzie do Paryża?

— Tak, do Paryża.

— Pan ma tam mieszkanie?

— Tak, mamy tam mieszkanie.

— Gdzie?.. Czy można pana odwiedzić?

— Na Bulwarze Haussmana. Pan Emmanuelo de las Foresas tonem swego głosu ulokował rodzinę de las Foresas... na Beletage.

Naraz Karolek wybuchnął płaczem.

Kiedy mężczyźni zabrali się do odejścia, pani Simonaine odezwała się:

— Ale ty mnie nie zapomnisz, Charlot, wszak prawda?

Karolek spojrzał na nią oczyma wiernego psa. Nie był w możności wymówić ani jednego słowa, drżącemi ze wzruszenia wargami.

Nazajutrz rano, właśnie gdy pan Emmanuelo de las Foresas zabierał się do odjazdu, kelner podał Karolkowi list.

— Panu osobiście, — dodał.

Karolek schował list.

W liście Karolek znalazł pieniądze, a na bilecie wizytowym skreślone słowa: „Nauczycielowi Charlotowi Dupont od Zofji Simonaine“. Słowa starły się gdy Karolek dojechał Paryża, tyle razy całował ów wizytowy bilet pani Simonaine...

. . . .

Na szóstem piętrze u pana de las Foresas wszystko miało wygląd powszedni. Postępowanie agentów koncertowych wprost oburzało pana de las Foresas. Jego cudowny skrzypek nie był już nikomu potrzebny!

— Łaskawy panie,—odezwał się pan Emmanuelo de las Foresas do pana Teodora Franza,— a zatem pan nie życzy sobie ponownie zaagangażować mego cudownego skrzypka?

— Łaskawy panie, ja, o ile się nie mylę, zawsze mówiłem z panem wyraźnie? Nie, nie mam zamiaru ponownie zaangażować pana Dupont!

— W takim razie jesteśmy wolni od wszelkich zobowiązań?

— Od wszelkich.

— Tylko to życzyłem sobie stwierdzić, łaskawy panie,— rzekł pan Emmanuelo de las Foresas, — teraz wszyscy agenci rzucą się do cudownego skrzypka!

Pan Emmanuelo de las Foresas zamieścił w „Le Figaro“ notatkę, iż cudowny skrzypek, Charlot Dupont, „nasz mały współrodak“ — jak pisał dziennik — „kończył właśnie swe wszechświatowe tournée i obecnie wyrzekł się wszelkich engagementów“.

Nikt się nie ukazywał...

Pan Emmanuelo de las Foresas czekał tydzień, czekał dwa tygodnie: ani jednego tournée nawet po prowincji! Pan Emmanuelo de las Foresas począł chodzić wszędzie ze swym „cudem“.

Zwiedzono wszystkie agentury koncertowe. Wszędzie opowiadano im, że w obecnej chwili publiczność nie jest spragniona „cudów“.

Karolek włóczył się za panem de las Foresas. blady i zgarbiony. Zdawało mu się, że wszystko to było tylko ciężkim koszmarem...

Pieniądze pani Simonaine zostały przejedzone. Pani de las Foresas płakała i znowu poczęła chadzać dawnemi drogami do kas zaliczkowych... Pan de las Foresas przebąkiwał coś o dzieciach, które sprowadzają swych rodziców do grobu...

Karolek począł brać lekcje od profesora konserwatorjum. Profesor polubił tego długiego jak tyka, chłopca w dziecinnem ubranku; prócz tego mówił, że chłopiec czyni znaczne postępy. Pewnego pięknego poranka dobił się dla Karolka pozwolenia wystąpienia u Pasdeloup.

Karolek poczuł naraz, jakgdyby z jego serca spadł wielki głaz. Zdawało mu się, że poraz pierwszy dopiero w swem życiu jest tak szczęśliwy! Pobiegł do domu na bulwar, z radości wpadając na ludzi. On będzie w niedzielę grał u pana Pasdeloup!

Zdawało się, że rodzina de las Foresas naraz zbudziła się z ciężkiego snu. Pani de las Foresas śmiała się—dzieci de las Foresas nigdy nie widziały, aby ich matka tak się śmiała kiedy—aż naraz śmiech jej przeszedł we łzy. Pani de las Foresas była zbyt ucieszona! Dzieci poczęły drzeć się, każde na swój sposób.

Pan Emmanuelo de las Foresas przyszedł do domu i usłyszał nowinę.

— Ja to przecież zawsze mówiłem,— rzekł pan Emmanuelo de las Foresas. — Pan Pasdeloup — to człowiek, który umie ocenić talent!

Karolek spał tej nocy na kanapie w stołowym pokoju. Pani de las Foresas poszła do niego o zmierzchu.

Wzięła głowę Karolka, położyła ją sobie na kolana i głaskała, niby małemu dziecięciu. Pani las Foresas czuła się tak szczęśliwa!

— Nigdybym się tego nie spodziewała, nigdybym się nie spodziewała tego... żeby mój Karolek... nigdybym się...

— Ależ, mamo...

— Jak oni cię mordowali przez tyle lat! Jak oni musieli męczyć mego chłopczyka!..

Pani de las Foresas całowała jego włosy.

— Mój ty, śliczny, złoty chłopczyku...

Pani de las Foresas mówiła mu o tych latach, kiedy Karolek był jeszcze malutki... Kiedy był jeszcze zupełnie mały, a ona uczyła go grać pierwszą melodję...

— Pamiętasz to? To było „Kakadu der Shneider“.

O, on, naturalnie, pamięta.

Stał wtedy koło fortepianu i nawet nie dosięgał do klawiszy — taki był malutki... Ale on się mógł prędko nauczyć wszystkiego — dość mu było dwa razy tylko coś usłyszeć, aby zagrał to bez żadnego błędu — bez błędu!

Ale oto nastały te dni — gdy poczęto go włóczyć wszędzie, po wszystkich krajach, jej ślicznego chłopczyka. Ale teraz znów będzie błogo — bardzo błogo...

Pani de las Foresas tak była szczęśliwa!

— Nigdybym się nie spodziewała, nigdybym nie przypuszczała nawet, żeby mój chłopczyk... Nie — nie śmiałabym nawet tego przypuścić... Myślałam, że wszystko już skończone z moim chłopczykiem...

Karolek opowiedział jej o pani Simonaine, która z nim grała i powiedziała mu, że ma talent.

— Tak, niech jej Bóg błogosławi, błogosław jej Boże, za to!

Pani de las Foresas głaskała kędzierzawe włosy Karolka a jego oddech powoli stawał się głębszy. Wreszcie zasnął.

Pani de las Foresas ostrożnie zdjęła rękę z jego głowy i wstała.

Wzięła lampę i długo, długo patrzała na swego wysokiego malca, który leżał, uśmiechając się przez sen. Łzy płynęły po jej licach. Pani de las Foresas była bardzo skora do łez.

Nazajutrz pani de las Foresas pokłóciła się z mężem.

Było to poraz pierwszy od tylu lat. Zazwyczaj pani de las Foresas poprzestawała na tem, że słuchała wszelkich wymyślań w milczeniu. Ale teraz zdobyła się na odwagę. Pani de las Foresas postanowiła uszyć Karolkowi nowe czarne ubranie na koncerty.

Nie było jednak rady. Pan Emmanuelo de las Foresas zmusił ją do milczenia za pomocą szczypców do karbowania...

Pani de las Foresas płakała — lecz ustąpiła.

(d. n.)



5) JAKÓB WASSERMANN.

Usta, które nie zaznały pocałunku.

(Z niemieckiego).

I naraz, Bóg wie dlaczego, wszystko to wydało mu się dziwnem i odległem. O książkach swych pomyślał, jak o przyjaciółkach, o ratunku. Myra nie odpowiedziała nic, lekko tylko skinęła głową.

— Czy nikt nie może pani pomódz? — zapytał Filip Unruh z dziecięcą bezradnością, a widząc lekceważące drgnięcie jej ust, dodał, jąkając się:

— Zdaje mi się, że już złapali chyba tego szczura na sali?

Młode dziewczę spojrzało ze zdziwieniem na starego dziwaka, uśmiechnęło się i odparło:

— Tak. Całą ich norę opróżniono.

Poczem oddaliła się.

Niewiadomo, co właściwie takiem uczuciem szczęścia napełniło serce nauczyciela. Może byłto ów uśmiech, który szybko jak myśl, przemknął po myślącej, zmęczonej twarzy Myry. Może to, że ów uśmiech był jak wygrana na loterji, która spada na ludzi, dotąd upośledzonych przez los, oślepiając ich nagłym błyskiem szczęścia. Zdało mu się, że żyje w błogosławionym czasie, w rozkosznem mieście.

W szynku ulicznym wychylił chciwie szklankę piwa. Natychmiast poczuł się dziarskim i mężnym. Pospiesznym krokiem przechodzić począł opustoszałe już ulice. Któż tam krzyczy obok domu kowala i wymachuje w ukłonie kapeluszem, a potem idzie dalej, jak przedtem, milczący? To pan adjutant, którego kłamana godność żołnierska znajduje wiarę, jedynie w jego osamotnieniu.

Filip Unruh zatrzymał się i patrzył za nim. Byłto, jak mu mówiono, człowiek, który cały swój majątek w karty przegrał, pozostawiając w nędzy żonę i dziecko, który następnie zdobyte pracą w kopalni złota skarby stracił podczas rozbicia okrętu. Człowiek ten spacerował teraz tutaj, hałaśliwie pozdrawiał ludzi spotykanych w nocy, mówił głośno i przekonywająco — zagadka dla wszystkich, a dla Filipa Unruh jednocześnie demonstracja bogatego życia, wartego więcej, niż cała bibljoteka. Można było podejść do niego i pytać go, a on mógł opowiadać ze śmiechem i łzami. W książce tymczasem przemawia tylko w różnobarwnej masce — śmierć.

Stróż nocny przeszedł, zagwizdał przeraźliwie i rzucił zwykły okrzyk: „Gaście ognie i światła!“ I dalej brnął po śniegu, pijany, ukazując senną twarz w świetle latarni. Następnie, wysoko na starej wieży rozległy się powolne, groźne uderzenia zegara. Rozbrzmiały daleko, wśród lasu, doliny i wsi poblizkich—jak sygnał spoczynku dla mężczyzny i kobiety, żebraka i włóczęgi, śmiechu i łkania, adjutanta i Myry. Nie można było zaprzeczyć, że w śnie takim czas upływał wszystkim tym ludziom, dla których to, co żywe, było blizkie, namacalne niemal a jednak wiecznie nieuchwytne.

VII.

Przed budynkiem szkolnym czatował na nauczyciela Apolonjusz Siebengeist. Kiedy Filip Unruh wyznał, że się właście niczego nie dowiedział, gniew prowizora był nie do opisania. Krzyczał, że go oszukano, że go zdradzono. Powiedział „bakałarzu“, tonem, który boleśnie dotknął nauczyciela. W końcu jednak objął złajanego i oświadczył, że mu dziękuje, że woli swe zwątpienie od pewności owej, za którą tęsknił.

Tej samej nocy jednak jego chęć dowiedzenia się o wszystkiem została zaspokojona. W gospodzie „Pod wesołą świstawką“ zastał, jako ostatniego gościa, dziwnie wyglądającego młodzieńca. Młodzieniec ów, grzejąc się przy piecu, wszczął z Siebengeistem rozmowę, z której okazało się, że jest to komik teatralny. Jak wszyscy komicy z powołania, nie był on niczem innem, jak tylko komikiem; obdarzony był jedynie złośliwym i oschłym dowcipem, który nadawał mu wygląd zgryźliwy i zbrodniczy.

Ponieważ do godziny „gaszenia ogni i świateł“ było jeszcze daleko, Siebengeist kazał podać znaczną ilość butelek. Młodzieniec opowiadać zaczął o Myrze. Mowa jego przypominała brzmienie języka czeskiego, co przyczyniało się nietyle do zrozumiałości jej, ile do melodyjności.

Księżyc świecił znów na jasnem niebie, gdy Siebengeist powracał do domu, ale już nie jako „wróg“ miesiąca. Nie znajdował słów, ani myśli, dla określenia uroku i słodyczy panującego wkoło spokoju.

Między domami ciągnęła się w cichym spoczynku przestrzeń księżycowem światłem zalana, niby delikatne, błękitno-zielone przędziwo; śnieg jaśniał chłodnym blaskiem, jak atłas biały. Była to noc jakby stworzona dla Myry. Teraz wiedział już czemu cierpiała ona i wiedział, że prawdą jest to, co wie. Prawdą są posępne rzeczy, o których opowiadał aktor.

Myra nie prowadziła dotąd wędrownego życia. Matka jej wdowa, mieszkała w małem mieście turyngskiem, gdy przybyła tam trupa Schmalicha. Młoda jeszcze kobieta, pełna życia i niedoświadczona, zepsuta czytaniem romansów, rzuciła się na szyję młodemu adeptowi sztuki i postanowiła towarzyszyć mu, przynosząc siebie całą w ofierze „sztuce“. Myra włóczyła się za nimi z miejsca na miejsce. Gdy matka sama zaczęła grywać, Myra zmieszała się zrazu. Odtąd porwana został w wir życia teatralnego. Niewolniczo poddana matce, nie spostrzegła jej rosnącego chłodu, nie zauwarzyła w końcu jej nienawiści. Matka Myry, jak mówił komik, była zazdrosna o córkę. Owa zazdrość właśnie przekształciła się z czasem w nagą nienawiść.

Myra nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie wiedząc o niczem, w dalszym ciągu prowadziła przy boku matki wędrowne życie komendjantów. I dnia pewnego w Bambergu znalazła się sama, opuszczona w nędznej gospodzie, czytająca ze łzami oschłe słowa pożegnania matki. W trupie przypominano ją sobie, leżącą w odmdleniu w pokoju dyrektora. Nie miała pieniędzy, ubrania, ani przyjaciół, słowem — absolutnie niczego. Przypominano sobie dzień, w którym wystąpiła poraz pierwszy w przedstawieniu, grając niemą rolę — przedmiot szyderstwa genjalnych kolegów. Ale, zdaniem pana Schmalicha, trupa wędrowna musi mieć ładne kobiety, a najsmutniejszą twarz można zapomocą szminki uczynić wesołą. Nigdy nie widziano Myry inną, niż teraz była; teraz zaś była taka, jakby nosiła w sercu obraz zbliżającego się nieszczęścia. Oczom takim nic nie jest zdolnem odjąć trwogi przed czemś, co ma nastąpić. Wśród kłamstwa, brudu, fałszywej wesołości i prawdziwej nędzy żyła, może swobodna od tego, może kogoś oczekująca. A Siebengeistowi zdawało się już, że jest owym oczekiwanym.

Zbyt wcześnie zdawał się Siebengeistowi uchylonym rąbek tajemnicy, którą mu powierzono przy winie. Zbyt wcześnie wziął to, co mogło być, za to, co było i puścił wodze nadziei. Między nim a drugim samotnikiem — ze szkoły, przędła noc te same nici tych samych uczuć; a los dla jakichś przyczyn odległych wiedział już, że dalej snuć będzie to, co noc owa żartem rozpoczęła.

Do Filipa Unruh przybył następnego ranka radca szkolny. Szło o ważne przewinienie. Do uszu zwierzchności szkolnej doszły niepokojące wieści o owej lekcji historji. Pan radca miał pryszczyk na nosie a na czole guza, którego nabił sobie we śnie, uderzywszy się o poręcz łóżka. To podwójne oszpecenie jednak nadawało twarzy jego wyraz najwyższej powagi, jakgdyby on tylko mógł decydować, czy krzywda zasiada na tronie ziemi. Nauczyciel przeraził się. Nie pamiętał już niemal wymówionych wówczas słów; gdy zaś przypomniał sobie, co powiedział, uznał to za tak niedorzeczne i bezsensowne, że najuprzejmiej i najwymowniej w świecie uspokajać zaczął pana z guzem i pryszczem. Jego namiętne zamiłowanie do książek przedstawiało mu się teraz, jak dziwaczna głupota czyjaś; zguba skrzyni wydała mu się zwykłym zupełnie wypadkiem. Ludzie, których spotykał, mieli inne twarze, inne ruchy, inne słowa niż poprzednio. Dzieci w sali szkolnej nie były już jak przedtem, przedmiotami, z którymi należało załatwić lekcje. Oczy ich były bardziej ożywione, ich nieposłuszeństwo — milsze, nieświadomość bardziej pociągająca; nawet to, że nie mogły spokojnie usiedzieć na miejscu, było teraz warte zastanowienia.

Popołudniu, przechodząc koło apteki, nauczyciel zobaczył wewnątrz Siebengeista samego. Wszedł. Prowizor zajęty był gwałtownem rozcieraniem w retorcie gęstej, białawej masy. Filip Unruh usiadł na ławce i począł usprawiedliwiać swoje wczorajsze postępowanie. Prowizor śmiał się, czynił wesołe miny i łajał go żartobliwie. Jednocześnie z całych sił rozcierał w dalszym ciągu ową gęstą masę.

Naraz sposępniał i zaczął urywanemi zdaniami opowiadać to i owo z tego, czego się o Myrze dowiedział. Zdawało się, że sam on żąda rady i wyjaśnień, ale nauczyciel nie mógł się zorjentować w gmatwaninie jego opowiadania. To też milczał uparcie, nie chcąc wiedzieć o niczem.

Siebengeist zaczął znów, wykrzywiając się, rozcierać swoją maść. Naraz pochylił się ku Filipowi Unruh i szepnął mu przy samem uchu, wyciągając rękę w kierunku drzwi w głębi:

— Jest tam jedna taka, co stoi na progu i słucha. Czy mam jakiegoś dłużnika, który mi napycha kieszenie podarkami? Wziąłem sobie do domu dziewczynę, jak tego noc chciała. Czyż to dowodzi, żeby się czepiać moich nóg, uszczuplać moje siły, zabierać mi to, na czem zawisło życie moje? Słusznie powiadają, że wiór drzewa nie stanowi jeszcze ciepłego pokoju!

Ujął nauczyciela pod ramię i, niby nieumyślnie, poprowadził osłupiałego w kąt. Wtedy otworzył raptownie drzwi i wypowiedział ostatnie słowa głośno, krzycząc prawie. Przed nimi stała baronowa, drżąca cała, z twarzą bladą jak płótno i spoglądała osłupiale w stronę drzwi wejściowych na ulicę. Siebengeist zaśmiał się i zatrzasnął drzwi.

A potem zaszło coś tak zdumiewającego i niezwykłego, że czas stracił niejako swą wyrazistość. Było to krążenie między wiedzą a zagadką, między strachem a męstwem, między pełnią a brakiem; było to oddychanie w parnem powietrzu, mowy bez sensu, sny na jawie, obrazy, przyniesione jakby przez wicher, a jednak trwalsze nieraz, niż kamień.

Filip Unruh siedział w małym pokoiku gospody. Znowu stało się mroźno; szyby pokryły się lodowymi kwiatami, chociaż słońce widniało na błękitnem niebie. Gospodarz siedział przy żelaznym piecyku i grał w karty z jakimś handlarzem bydła z Nördlingen. Ale wesoły trzask płomienia zagłuszony został wkrótce przez gniewne, ochrypłe głosy męskie, dochodzące z sali teatralnej.

— Zapewne odbywa się tam próba, — pomyślał nauczyciel.

Do sali jednak wszedł bon-vivant teatralny. Groźnie zarządał piwa i tym samym tonem opowiadać zaczął równie groźnie, że sentymentalna amantka wzdragała się złożyć wizytę krytykowi. O czemś podobnem nie słyszano, jak długo grają komedje na świecie. Jest te tem straszniejsze, że doktór Maspero jest zachwycającym człowiekiem.

Gospodarz z hałasem rzucił na stół asa atu. Handlarz bydła zaczął zjadliwie łajać aktora. W sali zapanowało milczenie.

Naraz na progu ukazała się Myra. Filip Unruh przez chwilę patrzał na nią błyszczącemi oczami a potem tchórzliwie wzrok odwrócił. Zdawało mu się, że ramiona jego ciężą nieznośnie ku dołowi.

Lica dziewczyny miały barwę purpury, ale skronie jej były blade, wzrok przeszywający, pusty i niepewny a plecy nieco zgarbione. Szła, jakby szukając wyjścia. Naraz zatrzymała się, jak w potrzask złapana. Przed nią stanął pan Schmalich, z wyrazem zakłopotania w twarzy. Myra zwróciła się do niego i cichym głosem, z przerażającą szybkością, wypowiedziała szereg zdań, których nikt nie rozumiał. Potem głos jej stał się donośniejszym, ale wyrazy wymawiane przez nią, stały się nieartykułowanymi dźwiękami.

Z „teatru" przyszły dwie grube aktorki, które śmiejąc się, przyklaskiwały postępkowi Myry. Gospodarz i grający z nim handlarz podeszli do nich, zaciekawieni. Myra roześmiała się sama, ale takim śmiechem, że nauczyciel, jakby pragnąc ją wstrzymać, wyciągnął ku niej drżące ramiona. Nagle runęła na ziemię; na ustach jej ukazała się piana. Wszyscy oniemieli i zbledli, nie ruszając się z miejsca. Filip Unruh, zapominając o sobie, wbrew nieśmiałości swojej, rzucił się ku niej, przyklęknął na podłodze, podłożył jej rękę pod głowę i, pochylając twarz ku jej twarzy, szeptał coś jak w ataku szaleństwa.

Chwili tej nie zapomniał nigdy. Nie zapomniał oczu jej półprzymkniętych i półzagasłych, pełnych nienawiści czy wdzięczności? — nie wiedział. Nie zapomniał ciepła jej ciała, burzy czarnych włosów, dotykających jego skroni. Zachował w pamięci dotknięcie jej karku do ramienia, oddech jej ust. W chwili tej, gdy drżąc, klęknął w pokoju gospody, pełen strachu, że mu ją odbiorą, nie myślał o dalszem życiu, które mogło posiąść tylko — wspomnienie.

Potem nadeszły inne rzeczy. Powietrze napełniło się jej imieniem. Aptekarz posłał po Filipa Unruh, prosząc go o przybycie do siebie. Gdy nauczyciel nadszedł, baron mierzył pokój wielkiemi krokami. Blady, oświadczył mu natychmiast, że należy podnieść artystycznego ducha w miasteczku, że on, jako radca gminy, działał już w tym duchu i przeznaczył pewną sumę, aby wspomódz zacną trupę pana Schmalicha i zatrzymać ją przez zimę w miasteczku. Tak, wtedy powieje dech nowy, tak, wtedy płomień szlachetny rozgrzeje ostygłe dusze. On sam ukończył sztukę teatralną; nie chce powiedzieć za wiele, ale zdaje mu się, że trudno o równą sztukę.

Przy tych słowach zasunął rygle przy drzwiach i zaprosił gościa do stołu, bogato zastawionego najlepszem winem i zimnem mięsiwem. Następnie posunął lampę naprawo i otworzył gęsto zapisany rękopis. Ten dramat nad dramatami zajmował się wyłącznie ideą nową i szacunku godną: jak można uchronić lasy od całkowitego wytępienia.

Z tego wszystkiego wywnioskował jedno tylko, że się niema czego obawiać, że Myra nie odejdzie tak prędko. To też kochał ową nieskończenie długą tragedję, z której wstawały jego nadzieje, jak wstają z bagnisk barwne mgły o zachodzie.

Dzień i noc, ciemność i światło słoneczne zmieniały się według innych reguł, niż dotąd, jakgdyby Wola, rządząca światem, stworzyła nowe formy zjawisk. Niezwykłe uczucia napełniły serce Filipa Unruh, gdy ten, siedząc przy piwie, w tem samem miejscu, co przed paru godzinami, widział przed sobą Myrę. Obok niej siedziało za stołem trzech aktorów a ona uśmiechała się, jak ktoś, co zdecydował się wreszcie zrzucić z siebie wszystko, co mu ciężyło. Jednak, uśmiech ten jakby obcy i dziwnie długotrwały sprawiał, że twarz jej czyniła wrażenie jakgdyby była pokryta cienką maską. Lica jej zachowały jeszcze purpurową barwę, skronie były wciąż blade, szyja wyciągnięta lekko, tak, że plecy zdawały się zgarbione. Podkrążone oczy patrzały niedowierzająco, podstępnie i bez celu, póki nie otwierał ich nagle wyraz śmiertelnego przerażenia. Nie widziała nauczyciela, nie widziała wogóle nikogo. Chwilami śmiała się ze wszystkiego, co mówił komik a potem rysy przybierały wyraz ni to niechętny, ni to niepocieszony.

Nadeszła matka Myry ze swym ulubieńcem. Najwidoczniej znaleźli oni w życiu więcej głodu, niż przyjemności. Zamożna przedtem wdowa straciła wszystko, co posiadała. Jedną ręką dawała miłość, druga pieniądze; to też jedna była zbrudzona, druga próżna. Duszę jej trawiła melancholja i dziwaczne kaprysy. Długie godziny spędzać mogła na szminkowaniu się, strojeniu, odmładzaniu. Już pierwszego dnia przesiedziała aż do południa przed lustrem, ze świecą z prawej i lewej strony, gdyż na dworze była gęsta mgła.

Do sali wszedł młody aktor. Na jego widok Myra podniosła się od stolika, pozostawiając nietkniętą szklankę kawy. Wysmukły młodzieniec, którego twarz miała w sobie coś z cezara i coś z psa owczarskiego, popatrzył za nią. Jakby zraniona jego wzrokiem, Myra wyszła szybko i zaczęła zstępować w dół ulicy.

Niedaleko wieży spotkała Siebengeista. Oddychając ciężko i nie słysząc prawie słów towarzysza, poprosiła go, aby ją zaprowadził do lasu. Udali się więc w kierunku Burgstallu (tak się nazywał las). Mgła była tak gęsta i ciężka, że zdawali się iść poprzez wilgotny, szary, ołowiany dym. Siebengeist zamilkł wkrótce.

Od strony szopy, służącej do składania drzewa, nadszedł Filip Unruh i stanął przed milczącą parą. Zdało mu się, że celny strzał trafił go w piersi; chłód przemknął go do szpiku kości. Odkryły mu się naraz tajemnicze stosunki, pogrzebane dotąd za murami domów. Nienawiść względem ludzi, powszechna i burzliwa, obudziła się w jego duszy.

Nagle — zdało mu sie, że śni: Myra podstąpiła ku niemu. Stała przed nim tak blizko, że mógł spostrzec na jej rzęsach topniejący z wolna płatek śniegu. Przemówiła uprzejmie i nieśmiało:

— Był pan dobry dla mnie — wiem o tem i dziękuję panu. Niechże pan przejdzie się trochę z nami".

Unruh popatrzał w ziemię, zaśmiał się bezdźwięcznie i wybełkotał dwa — trzy słowa. Potem spojrzal na usta, które wymuwiły te wyrazy, piękne usta, świeże, jak u dziecka. Zbudziła się w nim chęć nieposkromniona, wzmagająca się, jak płomień wśród suchych krzewów. Pragnął całować te usta, nic więcej; ale chęć ta przyprawiała go w odurzenie, równie w blizkie zwątpienia, jak wykonania. Byłoto więcej niż sen i więcej niż żądza; więcej, niż ocknięcie się poczucia własnej wartości; więcej, niż nadzieja przeciętnego szczęścia. Byłto żywiołowy szał ból człowieka, z siłą dzikiego zwierzęcia szarpiącego kraty, których istnienia pojąć nie może.

Myra poczuła naraz zachciankę rzucania kul ze śniegu. Wszyscy troje rozstawili się przed lasem, na wolnym kawałku pola. Dziewczyna była przy tej grze wesoła i radosna, a nauczyciel wchłaniał w siebie jej istotę, jak konieczność do życia pożywienia. Nie mówił nic, ani podczas gry, ani póżnej, podczas przechadzki po lesie. Przy boku jego szła ukochana powłóczysta postać. Słuchał jej słów stłumionych, które, zdawała się zbierać z wszystkich zakątków przestrzeni i które wypowiadała niepewnie, łagodnym głosem i jakby prosząco.

Słyszał, jak nie śmiało stawiała zapytania i jak nieśmiało uśmiechała się; widział, że o niczem na świecie nie śmiała mieć jasnego zdania, że podziwiała każdego, kto umiał twierdzenie jakieś wypowiedzieć z pewnością, że wiele jej się podobało i wiele chciała posiadać, ale była niespokojna o to i siłę tej chęci uważała za wykroczenia; że otoczona była sympatją, jak kula ziemska powietrzem, a jednocześnie obawiała się, że będzie nienawidzoną przez kogoś: istota z ciała i krwi, jedna z tych które się zdają stworzone dla szczęścia.

VIII.

Siebengeist był nieporównanym żartownisiem, gdy, zapominając o sobie, starał się Myrę rozweselić. Nie mogła pozostać poważną wobec jego gadania i komicznych min. Czego bo też nie wymyślił! Podczas jednej i tej samej godziny był opowiadaczem bajek i kuglarzem, pogromcą wężów i podwórzowym muzykantem; przeskakiwał przez stoły i parodjował aktorów, lepił damy ze śniegu i tworzył o swym zawodzie błazeńskie sonety na wzór aptekarza. Myra bawiła się świetnie. Podarowała mu cienki pierścionek z maleńkim rubinem, a Siebenguist ofiarował jej wzamian złote serduszko, zawierające napis: “*vers Dieu va*“.

Filip Unruh czuł się w takich razach obco wśród nich i szukał samotności. Podczas przechadzek, które odbywał sam jeden, Myra szła niewidzialnie przy jego boku, niewidzialnie snuła się także po jego domu. Zamieniała z nim niedosłyszalne zdania, darzyła go zaufaniem, pochwalała jego postanowienia. Jego wzrok i myśl, jego giesta i słowa otrzymały milczący, rozpaczliwy żar. Na wszystkich drogach, na na wszystkich murach napisane było jej imię; gdyby jednak imię to zostało rzeczywiście wymienione, nauczyciel przeraziłby się, jak przestępca, który korzystał, niepoznany, z owoców swego czynu.

Tak było z doktorem Maspero, który mówi o Myrze, wracając nocą z gospody.

— Prowizor, — twierdził ów rozsądny człowiek, — jest błaznem i świat ma rację potępiać go z powodu jego błazeństw, I cóż znaczą te jego bezsensowne harce? Wsyystko to dla pewnej ubożuchnej osóbki, ani ładnej, ani mądrej, której oczy zdradzają zarodki obłąkania. Niewiadomo, czego ona chce właściwie z temi błazeństwami.

— Stare przysłowie powiada: czego chce kobieta, tego Bóg chce, — mruknął nauczyciel.

— Tak? Opłakana sentencja, bakałarzu! Zdawałoby się, że cały rozum pana siedzi — czy ja wiem? — w żołądku. Stąd mądrość pańskich zdań. Co do mnie, pozwalam każdemu czynić, co zechce. Dobranoc panu!

Nauczyciel poczuł brzemię osamotnienia. Przez chwilę śledził spadające płatki śniegu i zdawał się oczekiwać przyjaciela jakiegoś, z którym mógłby noc przepędzić. Rzeczywiście, z ciemności wynurzyła się czarna, chuda postać. Byłto pan adjutant.

(d. c. n.)

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

ROZWÓJ EMBRJOLOGJI.

Embrjologja, czyli nauka o zarodkowym rozwoju zwierzęcych organizmów, w rzędzie nauk biologicznych, należy bezwarunkowo do najmłodszych. Powstała dopiero na początku ubiegłego stulecia, kiedy znakomity uczony K. Baer ogłosił pierwsze swe prace. Ale i przed nim było bardzo wielu uczonych embrjologów.

Najstarożytniejszym i najznakomitszym z pośród uczonych embrjologji był *Arystoteles*, którego można uważać za duchowego ojca embrjologji, bowiem on pierwszy uważnie badał zjawiska rozmnażania śród zwierząt i usiłował wyświetlić tajemniczy proces zapłodnienia organizmów. Praca jego o zapłodnieniu zwierząt stanowi prawdziwy traktat embrjologiczny, w którym dotarł już prawie do jądra tajemnicy oraz ustanowił większość kwestji, które współcześni embrjologowie starają się rozstrzygnąć. Rzeczą najbardziej godną uwagi u Arystotelesa, jest jego metoda, przy pomocy której przeprowadzał swe badania. We wszystkich swych pracach usilnie zaleca obserwację faktów, jako zasadniczy warunek nauki. Nie odrzuca on bynajmniej hypotezy, ale lęka się nadużyć w jej dziedzinie. Znajduje, iż najczęściej hypotezy mają zbyt ogólny charakter i nazbyt często wkraczają w sferę fantazji. „Najczęstszym błędem naszych hypotez, jest to, że zbyt szybko uogólniamy, nie uciekając się do ścisłych, przedwstępnych badań. Bardzo często wystarcza jeden, dobrze ugruntowany fakt, aby w niwecz obrócić genjalnie zbudowaną teorję i wywrócić cały system. Nie należy dowierzać teorjom, z wyjątkiem tych wypadków, gdy znajdują się one w ścisłem zespoleniu z faktami".

Embrjologja, ugruntowana przez Arystotelesa, otrzymawszy od niego właściwą metodę, najbardziej sprzyjającą rozwojowi nauk przyrodniczych, według wszelkich danych powinna się była rozwijać. Ale jednak stało się wprost przeciwnie. Przez 2000 lat nie uczyniła ani jednego kroku naprzód. I rzec można, że cofnęła się jeszcze wstecz; uczeni, studjujący wielkie problematy zapłodnienia, zapominają o radach Arystotelesa i porzucają teren badań, w tym celu, aby się w zupełności oddać teoretycznym, na djalektyce wspartym zagadnieniom. Pomimo zdumiewającego wynalezienia mikroskopu, dającego możność dokładnego badania budowy żywych istot, uczeni XVII wieku przez długi czas zajmowali się jałowymi sporami, na temat słynnej teorji *przetwarzania* (preformacji) *) nie mogąc osiągnąć żadnych określonych wyników.

Od III wieku do Nar. Chrystusa, t. j. epoki, w której żył Arystoteles — musimy przeskoczyć odrazu do 1759 roku, kiedy embrjologja czyni nowy krok naprzód i wychodzi na drogę, wytkniętą przez wielkiego, greckiego encyklopedystę, drogę, która przez tak długi czas była zaniechana. Dopiero w 1759 roku, Kacper Fryderyk Wolff, który w 26 roku życia wypowiedział w swej „Theoria generationis" (Teorja rozmnażania) nową naukę, opartą na ścisłych faktach, której przeznaczone było obalić teorję preformacji.

Zbadawszy z początku, rozwój kwiatka i owocu u rośliny, Wolff stwierdził, że narządy te stanowią zmienione liście i że zmiana zasadniczego kształtu liścia zmienia się w miarę przejścia od zewnętrznych części kwiatu do wewnętrznych. W ten sposób Wolff pierwszy wygłosił teorję, którą potem rozwinął i uzupełnił Goethe w swem słynnem dziele o przemianie roślin. Wkrótce potem, obserwując zjawienie się zarodka w kurzem jajku, Wolff ustalił, że z początku nie można znaleźć w zarodku absolutnie żadnych śladów nowej istoty. Z początku zarodek składa się z mnóstwa kulistych ciałek (komórek) i nie można w nim odnaleźć żadnych narządów. Rozmaite części i narządy zarodka, z początku niewidoczne, a więc nieistniejące, stopniowo zjawiają się jedno po drugiem i w ten sposób powoli tworzy się stopniowo młode pisklę. Wolff dowiódł, że narządy, które u dorosłego zwierzęcia silnie różnią się między sobą, z początku przy swem powstawaniu u młodego zarodka, ogromnie są do siebie podobne; zaznaczył również wielką doniosłość, jaką ma fakt podobieństwa narządów w początkowem stadjum rozwoju w zwierzęcym organizmie.

W następnej swej pracy, ogłoszonej po 9-u latach w r. 1768, p. t. „De formatione intestinorum" („O tworzeniu się wnętrzności") Wolff wyjaśnił, w jaki sposób tworzy się zarodek kurczęcia. Wnętrzności, centralny system nerwowy i krwioobiegowy powstają z bardzo prostych zaczątków, mających kształt cienkich płyt, które zginają się, przetwarzają w żłobki a potem w zamknięte rurki. Porównywując rozwój roślinnych narządów i narządów zwierzęcego za-

---

*) Tak nazywała się panująca wówczas teorja, według której w zarodku każdego zwierzęcia znajduje się już w postaci zupełnie gotowej, maleńkie zwierzątko.

rodka, Wolff doszedł do wniosku, że zarówno w roślinnym, jak i zwierzęcym świecie, narząd, mający kształt listka stanowi pierwszy zaczątek, z którego przez stopniowe różniczkowanie się cech powstaje reszta części nowej istoty.

Badania Wolffa spotkały uznanie i należytą ocenę dopiero w 1812 r., kiedy Mekkel przełożył na język niemiecki pracę tego zapoznanego uczonego o budowie przewrotu pokarmowego. Zjawienie się tej ważnej pracy było hasłem odrodzenia embrjologji. Uczeni potwierdzili i uzupełnili badania Wolffa i wielu anatomów przedsięwzięło nowe badania. Po kilku latach wyszło dzieło, K. E. von Baera p. t. „Historja rozwoju zwierząt" — dzieło istotnie kapitalne, jeszcze dotychczas uważane za jedno z najważniejszych w dziedzinie embrjologji.

Baer, znalazłszy jajko u ssaków, zbadał rozwój tych zwierząt, czyniąc mniej więcej to samo, co jego poprzednicy, t. j. badając rozwój kurczęcia, nieco później przeszedł do embrjologji płazów, gadów, ryb i wielu bezkręgowych zwierząt. W ten sposób stworzył nową naukę — embrjologję porównawczą. I on pierwszy wykazał nieodzowność tej nauki do studjów nad morfologją i anatomją.

Wolff a potem Pander, ustalili, że narządy zarodka kurczęcia powstają z zaczątków, mających kształt listka; listek ten współcześni embrjologowie nazywają *blastodermą*. Baer dowiódł prawdziwości tego faktu i ustalił, że u wszystkich kręgowców blastoderma rośnie w pewnym punkcie swej powierzchni w kształcie owalnego krążka i że ten krążek stanowi pierwszy zaczątek zarodka. W tym miejscu można wkrótce zauważyć dwie warstwy komórek albo dwa listki; górny (żywotny listek, czyli ektoderma), skąd pochodzą wszystkie narządy, stanowiące ogniska t. zw. żywotnego życia (narządy czuciowe, ruchowe i zewnętrzne okrycie ciała) — oraz dolny (listek wegetacyjny, albo entoderma), skąd biorą swój początek narządy t. zw. wegetacyjnego, albo roślinnego życia — narządy pokarmowe i rodne. Baer przypuszczał, że każdy z tych listków w następstwie rozdwaja się i daje dwa oddzielne listki które razem tworzą to, co nazwane zostało potem trzecim listkiem, albo *mesodermą*.

Z badań Baera wynikło, że listki blastodermy są *homologiczne* u wszystkich kręgowców, t. j. że każdy z nich daje początek homologicznym narządom *). U wszystkich kręgowców system nerwowy powstaje z zewnętrznego listka a błona śluzowa przewodu pokarmowego — z listka wewnętrznego.

(d. c. n.) *S. Dziedzicki.*

*) *Homologiczne narządy* są to narządy mające jednakowe pochodzenie, chociaż ich przeznaczenie może być różne, np. ręce człowieka i skrzydła u ptaków.

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

W jaki sposób można odróżnić zwierzęta od roślin.

Nie zawsze można łatwo odróżnić zwierzę od rośliny. U wyższych przedstawicieli tych dwuch światów przyrody różnice są tak jaskrawe, że zgoła dziwacznym byłby fakt, gdyby, ktoś pomylił się w odróżnianiu życia zwierzęcego od roślinnego. Ale wręcz przeciwnie dzieje się u niższych przedstawicieli; cechy zaznaczone są tam tak słabo, że każdy, wedle chęci może uważać daną istotę za roślinę lub zwierzę. Rzecz prosta, że nie tyczy się to takich istot, jak meduzy i t. d., które tylko profani uważali za organizmy zwierzęce.

Między grzybami spotykają się gatunki, które zdolnością przenoszenia się z miejsca na miejsce, w formie zarodnikowej czynią wrażenie zwierząt. Co się zaś tyczy bakterji, to w rzeczywistości, nie wiemy o ile usprawiedliwione jest umieszczenie ich w świecie roślinnym. I oto wielce usprawieliwione jest mniemanie, że w przyrodzie niema określonych granic, że wszelka systematyka stanowi jeno dzieło rąk ludzkich i we właściwem stawia świetle niedoskonałość ludzkiego poznania.

Ale ostatnio przyszła z Anglji sensacyjna wieść, jakoby wynaleziono środek, za pomocą którego będzie można napewno rozróżniać zwierzęcą tkankę od roślinnej, nawet u niższych form. Środkiem tym jest prąd elektryczny, który przepuszcza się przez słabą emulsję zwierzęcych i roślinnych komórek, albo ich mieszaninę. W tym samym celu można zmieszać, ciałka krwi, drożdże, bakterje i jednokomórkowe rośliny. Wówczas roślinne komórki, gromadzą się na biegunie ujemnym, a zwierzęce — na dodatnim.

Nowy tryumf nauki.

W akademji medycznej w Paryżu stwierdzono naukowo olbrzymią doniosłość leczniczą t. zw. d'arsonvalizacji, czyli stosowania metody znakomitego uczonego francuskiego, d'Arsonvala, polegającej na przepuszczaniu przez ciało ludzkie niezmiernie silnych prądów elektrycznych, rozbitych na pojedyńcze drgania.

D'arsonvalizację stosował dr. Moutier w przeróżnych przypadłościach z jaknajlepszym skutkiem, jak w różnych chorobach serca, wątroby, żył nerek, nawet w chorobach ginekologicznych, nawet też w neurastenji i przypadłościach natury turbe kulicznej.

Profesor akademji medycznej, Letulle, znakomitość w świecie

nauki, w referacie o wynikach tego leczenia, złożył publiczny hołd d-rowi Moutierowi za te świetne wyniki, nie ulegające żadnej wątpliwości, bo stwierdzone przez Akademję.

Szczególniej zdumiewająco pomyślne wyniki d'arsonvalizacji otrzymano w chorobach serca i wątroby. Tuberkulicznym działanie prądów elektrycznych d'Arsonvala wzmacniało odporność organizmu, ożywiało i normowało krążenie krwi itd.

Niezwykły projekt.

Pewna grupa uczonych podała projekt, żeby przestępców, skazanych na karę śmierci przez powieszenie, rozstrzelanie i t. p. używać odtąd dla celów wiwisekcji, zastrzyknięć i dla innych doświadczeń naukowych, zamiast psów, królików i innych niewinnych zwierząt. Szkodliwy element przynajmniej w ten sposób przyniesie korzyść społeczeństwu, oddając ciało na usługi nauki.

„Księgi kupieckie" z przed 2400 lat.

Uniwersytet Pensylwanja wysłał ekspedycję do Nippur w Persji w celach poszukiwań naukowych. Przy wykopaliskach natrafiono pomiędzy innemi na sklepienie, pod którem znaleziono „księgi handlowe" pewnej firmy z przed 2400 lat. Sklepienie to prawdopodobnie było skarbcem i przechowywano w niem oprócz pieniędzy, także wszystkie ważne dokumenty. Naturalnie, owe „księgi kupieckie" nie składały się z kart papierowych, połączonych w całość książkową, tylko z rozlicznych małych takliczek ceglanych, na których pismo było wyryte. Musiało to być, jak widać z oceny tych ksiąg przedsiębiorstwo bardzo wielkie. Założone zostało w czasach króla Artaxerxesa I. Jak donosi „New-Jork Herald", znaleziono kilkaset takich tabliczek po których poznano że firma zajmowała się różnemi gełęziami handlu. Sprzedawała klejnoty i drogocenne kamienie, pośredniczyła w sprzedaży gruntów i przyjmowała zarządzanie majątkami. Pomiędzy różnemi kontraktami i doświadczeniami gwarancyjnemi znaleziono następujący dokument: „Bel-adidinua i Belszuna, synowie Bela i Hatiny z Buzuzu, przemawiają tak oto do Bel-nadin-szumu: co się tyczy obrączki złotej z szmaragdem, to gwarantujemy, że w przeciągu 20 lat szmaragd nie wypadnie z pierścienia. Gdyby wcześniej wypadł, to zapłacimy dla Bel-nadin-szumu 10 sztuk srebra jako odszkodowanie.

Leczenie raka.

Profesorowie uniwersytetu wiedeńskiego, Biel i Wertheim, udali się onegdaj — jak donoszą z Wiednia — do prezesa ministrów i ministra oświaty w sprawie doświadczeń, o których zdano sprawę na ostatnim kongresie ginekologicznym w Halle. Na podstawie tych doświadczeń udało się uzyskać zadawalające wyniki przy leczeniu raka u kobiet za pomocą promieni mesothorium, które otrzymać można z pewnych minerałów. Mesothorium zawiera w sobie 25% radu. Tem lepszy zatem skutek dałoby się osiągnąć przy leczeniu czystym radem, który znajduje się tylko w Austrji. Profesorowie proszą więc rząd, aby odstąpił odpowiednią ilość radu dla klinik wiedeńskich, w celu poczynienia doświadczeń, gdyż — zdaniem uczonych — odkrycie leczenia raka za pomocą promieni mesothorium może mieć opokowe znaczenie, podobnie jak odkrycie antyseptyki. Ministrowie przyrzekli przedstawić wspomniany memorjał radzie ministrów.

Palacze opium.

Wychodząca w Paryżu „Revue de Revues" zamieściła w jednym z ostatnich zeszytów sprawozdanie francuskiego lekarza d-ra Libermana, o postępach konsumcji opium w Chinach i akcji, którą przedsięwziął rząd chiński, celem zwalczania szkodliwego i społecznie destrukcyjnego nałogu.

„Opium — czytamy w tem sprawozdaniu — wyrabia się z soku t. zw. maku usypiającego" (papaver somniferum). Sok ten sztucznie zgęszczony, jest twardy i ciężki; kolor ma różowawy, żółtawy lub brunatny; zapach silny i gryzący; smak gorzki i cierpki; żuty w ustach, zabarwia ślinę na zielono. Skład chemiczny opium jest nader zawiły; zawiera ono aż sześć ciał krystalizujących, między któremi morfina ma pierwszeństwo. Produkuje się opium różnymi sposobami w Turcji europejskiej, Azji - Mniejszej, Persji, Egipcie, głównie jednak w Indjach wschodnich. Próbowano także wydobywać je ze zwykłego białego maku we Francji, Anglji i Algierze; otrzymywano produkt, obfitujący w morfinę. Wielką wziętość ma opium smyrneńskie i stambulskie, ale przedewszystkiem bombajskie i bengalskie.

Jak niegdyś w wiekach średnich alkoholu, tak i opium używano pierwotnie tylko jako lekarstwa, nawet jeszcze w wieku XVII. Jako środek leczniczy, używa się opium przeszło w 400 postaciach, w ekstraktach, pigułkach, maściach i t. d. Służy ono przeciwko bezsenności, rozmaitym cierpieniom nerwowym, jako antidotum przeciw zatruciu belladonną i t. p. Wystarczają jednak do celów leczniczych małe dawki 3 do 10 centygramów roztworu wodnego. Użycie większej ilości sprowadza upojenie, a częste powtarzanie zmienia się w nałóg. Klasycznym krajem, w którym nałóg ten się rozpowszechnił, są właśnie Chiny.

Dostarczali tam opium początkowo portugalczycy, a następnie od r. 1773 angielska kompanja indyjska. Według wykazów statystycznych, w r. 1800 wywieziono do Chin 400 skrzyń opium, w r. 1853 przywóz wynosił już 35,000 a w roku następnym doszedł aż do 67,000.

Później chińczycy zaczęli sami wyrakiać mak usypiający i to stopniowo zmniejszyło dowóz. W roku 1871 jednak przywieziono jeszcze z zagranicy 52,000, a w następnym 42,000 skrzyń po cenie od 5200 do 3500 franków. Należy przytem zaznaczyć, że dla najnamiętniejszego palacza wystarcza 10 do 15, najwyżej 20 gramów opium spalonego w fajce, zużycie 12 gramów surowego lub 8 gramów

wyciągu czystego opium sprowadzić może śmierć.

Używanie opium w celach upojenia się niem, odbywa się w Chinach dwojakim sposobem: przez żucie i przez palenie. Ten drugi sposób zwłaszcza jest szeroko rozpowszechniony. Fajeczka do palenia opium składa się z rurki drewnianej, metalowej i jaspisowej, długości około metra oraz z małej wydrążonej kulki, do której wkłada się gałeczka ekstraktu opium, zapalona przy lampie. Palenie trwa zaledwie minutę; kończy się po 20 do 30 pociągnięciach, a to wystarcza do odurzenia się na cały dzień. Specjalne fajczarnie są zwykle brudnemi norami, ale istnieją też fajczarnie dla bogaczów, urządzone z wielkim przepychem.

W całych Chinach, jak wykazują ostatnie sprawozdania, zebrane z inicjatywy akcji zapobiegawczej rządu, upaja się paleniem zabójczego narkotyku, średnio biorąc, dziesiąta część ludności a w wielkich miastach portowych i w Pekinie nawet część piąta. Nadużycie powodujące wycieńczenie umysłowe i muskularne, szerzy się coraz bardziej w masach i w tem leży jego niebezpieczeństwo społeczne.

„Zgubnem następstwem rozpowszechnienia opium — kończy dr. Liberman — jest ostateczny upadek społeczeństwa chińskiego, już i tak znajdującego się na drodze rozprzężenia". Nowy rząd chiński usiłuje wszelkiemi sposobami zapobiedz klęsce, akcję jego jednak osłabia spekulacja, ciągnąca z nieszczęsnego nałogu zyski".



WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.